



Szturm miesięcznik narodowo-radykalny numer 19 2016

[Krzysztof Kubacki - „Przeżeni nacjonalizmem – wojna informacyjna”](#)

[Michał Szymański - „Drzazga w oku”](#)

[Daniel Kitaszewski - „Bezdroża antyniemieckiej obsesji”](#)

[Leon Zawada - „Męczennicy”](#)

[Witold Dobrowolski - „Zdelegalizować Islam czy deportować Shaded?”](#)

[Maria Pilarczyk - „O feminizm dla polskiego nacjonalizmu”](#)

[Hubert Kowalski - „Kobiety na czele pochodu i w domu, czyli rodzina w XXI wieku”](#)

[Adam Busse - „Upadek młodzieży – powolna śmierć Europy?”](#)

[Adrianna Gąsiorek - „Kościół a nacjonalizm”](#)

[Tomasz Dryjański - „W pułapce historyzmu”](#)

[Lukasz Grower - „Konkretów, a nie dyskusji!”](#)

[Maciej Mańkowski - „\(Nie\) Gotowi do wojny? - Państwa frontowe i nie tylko \(cz.1\)”](#)

[Kacper Sikora - „Fatalny stan polskiego prawa i potrzeba jego naprawy”](#)

[Paweł Weczyński - „Najpierw klasa, potem rasa”](#)

[Paweł Bielawski - „Wielka Polska Solidarna – odrodzenie narodowego syndykalizmu”](#)

[Tomasz Schabowski - „Liberalizm zabija narodowców”](#)

[Michał Walkowski - „Spuścizna Wincentego Lutosławskiego”](#)

[Patrik Płokita - „James Connolly - irlandzki nacjonalista, socjalista, republikanin”](#)

[Zbigniew Zduński - „Antysystem”](#)

Przerażeni nacjonalizmem – wojna informacyjna

Zawsze gdy trwa nagonka na ideę narodowo-radykalną, na którąś z organizacji o profilu narodowo-radykalnym etc. uśmiecham się pod nosem. Szczególnie mój dobry humor poprawiają miny przedstawicieli danych partii czy liberalnych publicystów, dziennikarzy. Ich poważne miny z chęcią nastraszenia nami społeczeństwa to naprawdę świetny film komediowy, a może i serial – bo wiele już takich odcinków mamy za sobą. Uwielbiam to gdy do swoich studiów zapraszają „ekspertów” i rozmawiają z taką powagą jakby świat miał się jutro skończyć, brakuje jedynie „holiódzkiej” muzyki i może nawet wpadły by jakieś nagrody filmowe. Często narzekamy na sztywną grę polskich aktorów, a przecież wystarczy włączyć dowolny program publicystyczny szczególnie kiedy tematem jest nacjonalizm. Choć nie wątpię także, że naprawdę wielu z tych ludzi musi czuć przed nami obawę nakręcaną jeszcze przez swoich liberalnych towarzyszy. Cóż, warto jednak podziękować za to, że narodowy-radykalizm miał po raz kolejny swoje pięć minut nawet w demoliberalnych mediach – dzięki czemu nasza idea trafiła do jeszcze szerszego grona odbiorców. Przejdźmy jednak do tytułu artykułu – bo naprawdę pod wrzucanymi postami po ostatniej manifestacji ONR po raz kolejny widać było przerażonych ludzi z pytaniem „w którą stronę to zmierza?”. Skąd to przerażenie?

Od 27 lat w Polsce wbija się do głów kult konsumpcji, dobrobytu, końca epoki i chwały wielkiej demokracji liberalnej, dzięki której możemy się cieszyć w spokoju każdym dniem. Nie jest więc niczym dziwnym – kiedy ludzie w to wierzący zderzają się z narodowymi-radykałami. Nie dziwi mnie ich strach, zdziwienie, lęk. Stoją wtedy przed czymś dla siebie nieznanym, przed systemami wartości, o których uczyli się jedynie na lekcjach historii, o postulatach o których bali się nawet pomyśleć, stoją przed ludźmi zdecydowanymi na wszystko i oddanymi czemuś więcej niż tylko odbimbaniu codziennych spraw, obejrzeniu w telewizji wiadomości i przyjmowaniu tego jako prawdy objawionej. Nie miejmy im tego za złe – oni byli w ten sposób wychowywani, bombardowani demokratyczno-liberalną propagandą w mediach, w szkole, w domu – a także straszeni nami nacjonalistami. Kiedy ktoś Cie czymś lub kimś straszy zawsze przy takowym spotkaniu dochodzi do pewnej nerwowości, obawie etc. Nie mieliśmy praktycznie od początku istnienia III RP jakiegokolwiek możliwości walki informacyjnej. Choć i teraz zasięg demoliberalnych mediów jest wciąż przeważający – jednak mamy czym walczyć i nie jesteśmy bezbronni. Montowane przez nich filmiki tak naprawdę działają na naszą korzyść, musimy je w chwytliwy sposób przedstawiać – aby działały w sposób odwrotny niż tego chcieli jego twórcy. W tej wojnie informacyjnej musimy być wszędzie, nawet na najmniejszych portalach – udostępniać wszystko co najwartościowsze z naszych stron. Nawet jeżeli ktoś tego nie odczyta to i tak w głównej mierze zapamięta. Każdy z nas w tej wojnie bierze udział, każdy z nas ma rodzinę i znajomych – rozmowa, przekonywanie, nawet kłótnie – wszystko jest potrzebne, wszystko to działa na rzecz narodowego-radykalizmu.

Demoliberalowie – czyli inaczej wyznawcy demokracji liberalnej zawsze będą naszymi wrogami. Ich prasa nigdy nie przestanie być dla nas surowa, kłamliwa i nas obrażająca. Nie mam do nich pretensji – to wojna o kwestie wyglądu narodu, społeczeństwa, państwa. Musimy być bezlitośni w propagandzie przeciwko nim, wyśmiewać ich bzdury – ze względu na ich medialną przewagę – bombardować

znajomych naszymi treściami – demoliberalowie robią to codziennie – niech każdy z nas zada sobie pytanie – a jak często robimy to my? Pamiętajcie, żeby nigdy się nie wahać, nasze stanowiska przedstawiać twardo jako odtrutkę na liberalną papkę. Pokazywać ich jakimi są naprawdę – czyli kłamcami, manipulatorami szczególnie w naszej sprawie. Wykorzystajmy to, że plakaty odeszły do lamusa, a propagować ideę można wygodnie z własnego fotela. Wojna nie toczy się już tylko na ulicy, to wojna o umysły więc czy ktoś tego chce czy nie – walka o umysły odbywa się właśnie tu i teraz w internecie, który czasem jest w stanie zdecydować nawet o wyniku wyborów. Udostępniajcie teksty z różnych portali, cytaty, grafiki wszystko co może trafić do Waszych znajomych. Pamiętajcie o tym, że jeżeli nikt tego z nas nie zrobi – zrobią to zaraz za Was telewizyjne wiadomości i to będzie dla nich kolejne zwycięstwo. Ot takie czasy, zamiast narzekać wykorzystujmy to co mamy.

Co do atakujących nas hierarchów kościelnych...cóż – Ci którzy padają do stóp demoliberalnej rzeczywistości i kłaniają się w pas w mediach jej przedstawicielom – nie miejcie dla nich złudzeń i litości. Nasza propaganda musi ich atakować, ale także odpierać pisane przez nich bzdury. Takie czasy. Nacjonalizm jest jedyną siłą mogącą zniszczyć obecny porządek świata. Żadna inna idea, doktryna nie ma takiej siły jaką mamy my. Jesteśmy coraz lepiej zorganizowani, coraz liczniejsi. Naszym obowiązkiem jest nie tylko wciąganie w propagandę naszej idei stałych działaczy, ale głównie sympatyków – ta grupa jest liczniejsza niż ta pierwsza. Nasza taktyka musi być prosta – informacje narodowo-radykalne dla naszych znajomych każdego dnia!

Nie poniżajmy się, nie tłumaczmy przed nimi – tłumaczmy tylko zwykłym zjadaczom chleba, którzy by chcieli się o nas więcej dowiedzieć. Zmasowana nagonka od czasu do czasu ze strony demoliberalnych mediów na nas ma nam pokazać miejsce w szeregu. Jednak nie jest to już tak słabe miejsce jak dawniej. Atakujmy ich zajadle – mamy już teraz czym i jak atakować, wyśmiewajmy ich, zarażajmy śmiechem innych – nasi przeciwnicy ze swoimi argumentami nie zasługują na nic więcej. Jesteśmy w stanie odpowiadać więc to róbmy – mamy własne media – korzystajmy z tego jak najwięcej się da. Linkujmy dzień w dzień informacje z naszym punktem widzenia. Tak dziś tworzy się rzeczywistość. Nie ma co opierać się na pięknym, jednak naiwnym powiedzeniu, że „prawda sama zwycięży” - ot tak sama z siebie niestety, nigdy. Musimy jej pomóc, wojna informacyjna trwa dzień w dzień. Nasi przeciwnicy mają swoje kanały informacyjne 24h, ale my także mamy internet i nasze media 24h. To jest walka o umysły, to jest walka o przyszłość, to walka oto co kochamy.

Krzysztof Kubacki

Drzazga w oku

Okolo dwóch tygodni temu (przynajmniej dla mnie, gdy piszę te słowa) miałem okazję znajdować się w autokarze zmierzającym w stronę Częstochowy na pielgrzymkę młodzieży narodowej na Jasną Górę. Tak się złożyło, że pewien poznany wówczas przeze mnie wszechpolak, po tym, gdy zostałem przedstawiony jako redaktor „Szturmu”, zadeklarował, że pismo jak najbardziej zna, ale nie podobał mu się jeden, krytyczny w stosunku do naszego nacjonalistycznego środowiska, tekst. Postawił wręcz pytanie, jak w ogóle osoba o takich poglądach może takie teksty wypisywać?

Jego opinia nie jest bynajmniej odosobniona. Nie zapomnę uroczego porównania „Szturmu” do „Gazety Wyborczej”, gdyż najwyraźniej z podobną pasją krytykujemy polskich narodowców co redaktorzy z Czerskiej. Chciałbym prowokacyjnie przyznać rację i z dumą powiedzieć, że tak, jesteśmy taką „Wyborczą”, gdyż nasze pismo stoi na co najmniej równie wysokim poziomie co Biblia wszystkich liberalno-lewicowych inteligentów, nie mniej jednak zachowam chociaż odrobinę powagi i merytorycznie podejść do zagadnienia.

Czy polski nacjonalista może krytykować innych nacjonalistów? Swoją ruch? Doktrynę? Powiedzmy więcej – czy ma prawo krytykować swój kraj? Naród? Odpowiedź powinna być, moim zdaniem, jednoznaczna – nie tylko może, ale wręcz powinien.

Powinien to czynić nie tylko dlatego, że prawda zawsze obroni się sama, a prawdziwa cnota krytyki się nie boi, ale właśnie dlatego, że wcale cnotliwi i bezgrzeszni nie jesteśmy. Każdy z nas ma swoje wady i słabości – ich obnazanie jest czymś jak najbardziej wskazanym. Niektórzy z nas, po takim braterskim napomnieniu, być może zmienią swoją postawę, tym samym stając się lepszymi nacjonalistami, lepszymi Polakami czy lepszymi katolikami – a to będzie z korzyścią zarówno dla takiej osoby, jak i dla nas jako ogółu. Powiedzmy sobie jednak więcej – są ludzie, którzy w naszym kręgu znajdować się nie powinni. Jak wspomniałem, prawdziwa cnota krytyki się nie boi, w przeciwieństwie do osób, które – gdy trzeba będzie – nacjonalistyczną sprawę zdradzą za garść srebrników. Ponieważ nie chcę tutaj, rzecz jasna, robić nikomu wycieczek osobistych, to przywołam tylko bardzo wyrazisty przykład z historii – rumuński legionista Mihai Stelescu, który ostatecznie zdradził swoich towarzyszy. Nawet w tak kryształowej, rzeklibyśmy, organizacji jaką był Legion Michała Archanioła trafił się łotr i zdrajca. Czy uważamy siebie za osoby równie czyste i szlachetne co legioniści?

Krytyka jest jak najbardziej wskazana po to, by polski nacjonalizm jako idea stawał się lepszy, bardziej wyrazisty i ciekawy. Możemy sprowadzić go do Dmowskiego, endecji, ONR-u, NSZ i żołnierzy wyklętych, do niechęci do UE i imigrantów, antykomunizmu i szacunku dla katolickiego dziedzictwa naszej ojczyzny, ale to sprawi, że nasza idea będzie bardzo płytka i nudna. A nacjonalizm potrafi być niezmiernie ciekawy i stawiać fascynujące tezy – przywołajmy niemiecką rewolucję konserwatywną czy włoską skrajną prawicę z lat 70-tych. Jeśli nacjonalizm chce być silny, to musi mieć też zaplecze intelektualne, tak samo jak skrajna lewica spod znaku „Krytyki Politycznej” czy liberalizm w osobie poważanych eseistów i ekonomistów. Na rynku idei nie sprzedamy się, jeśli nie będziemy się twórczo rozwijali. A nie ma nic bardziej twórczego niż wzajemne spory i kłótnie – te zaś wymagają tego, byśmy się wzajemnie krytykowali. Inaczej się nie da.

Przed wojną, bo przecież każdy narodowiec musi analizować jak to wyglądało wszystko przed wojną, wzajemne polemiki i krytyka były na porządku dziennym. ONR-ABC i Falanga krytykowały się wzajemnie, narodowi radykalowie doczekali się ostrego pamfletu pióra Jędrzeja Giertycha. Młodzi nacjonałiści narzekali na starzejącego się i nierozumiejącego współczesnych im realiów Dmowskiego. Czy ktokolwiek zarzuca im, że byli jakimiś „anty-Polakami”?

Co się tyczy właśnie Polaków, to nikt inny, tylko właśnie polski nacjonalista powinien krytycznie odnosić się do własnego narodu i ciągle wypominać mu jego wady. Nie po to, żeby wpędzić go w kompleksy tak jak czynią to polskojęzyczne media ale żeby uchronić przed nim samym. Możemy sobie wmawiać, że jesteśmy najlepsi i najwspanialszy – ale tak też myślała chociażby polska szlachta która posłała naszą ojczyznę w pewnym momencie do grobu. Sam Dmowski pisał, że mamy być nie tylko dumni z tego, co polskie, ale również widzieć to wszystko, co w nas marnie. I to właśnie należy krytykować. To jak z lekarzem, który musi zdiagnozować chorobę i powiedzieć o niej pacjentowi – ale może albo uświadomić choremu jaki jest jego stan i zaproponować mu korzystną dla niego terapię albo ostatecznie odpuścić i stwierdzić, że lepiej by biedaczysko w ogóle o niczym nie wiedziało. My, z miłości do własnego narodu, musimy stale wypominać mu każdą jego słabość.

Dlatego każdy polski nacjonalista, a na pewno (a przynajmniej mam taką nadzieję) każdy redaktor „Szturmu” będzie taką... powiedzmy, że jedynie drzazgą w oku, taką wkurzającą drzazgą. Tak, naszym zadaniem jest nie tylko dostarczyć Czytelnikowi przyjemnej lektury i pożytecznej informacji. O nie. My mamy wkurzać. Mamy jechać po bandzie. Stale mówić wam, że są rzeczy, które należy zmienić i poprawić. A robimy to tylko po to, żeby Polska i polska idea narodowa były lepsze.

I sami jesteśmy otwarci na krytykę.

Michał Szymański

Bezdroża antyniemieckiej obsesji

„Położenie geograficzne Polski i Niemiec tak się ułożyło, że te państwa muszą być ze sobą albo w przymerzu albo w antagonizmie wiodącym do wzajemnego zniweczenia się” - Władysław Studnicki

W noc sylwestrową z roku 2015 na 2016 doszło w pewnym europejskim mieście do fali masowych gwałtów na białych kobietach. Ich autorami byli przybysze z Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej, zaproszeni i protegowani przez lokalną gubernator prowincji eurokolchozu.

Gdzie to się wydarzyło? Ano w kraju, który po przepoczwazzeniu się z Trzeciej Rzeszy w Republikę Federalną Niemiec, posiada Unię Europejską i buduje potężne imperium, w ramach którego dla Polaków przewidywana jest rola niewolników. Chodzi oczywiście o NIEMCY i wielkie litery nie są tu przypadkowe. To nasz najgorszy wróg pisany przez wielkie W. W podziemnych fabrykach z podpisem "Lebensborn" płodzi miliardy bojowców Merkeljugend, gotowych odebrać Polsce ziemie od dziesiątek tysięcy lat słowiańskie, piastowskie i arcy-polskie - na przykład te wokół Szczecina.

A teraz na poważnie: wydarzyło się to w Niemczech. konkretnie w Kolonii. W kraju, który po totalnej katastrofie roku 1945, którą ściągnął na siebie decyzjami niemądrego polityka, stał się okupowanym buforem dla bolszewii i zachodniego świata kapitalistycznego. Któremu wypędzono 15 milionów kresowiaków ze wschodu, dalszego wschodu i południa. Którego naród po dziesięcioleciach "antynazistowskiej reedukacji" stracił własną tożsamość. Którego klasę pracowniczą rodzima marksistowska lewica zaprzęga do roli "szwerców Europy", ratujących wszystkich naokoło i podpierających kapitalistyczną ekspansję nielicznych wybranych, na wschód. Który ma katastrofalne wskaźniki urodzeń, dodatkowo zakłamanie propagandowo dzięki "poprawie demograficznej" w postaci rodzin muzułmańskich z kilkunastoma dziećmi pod jednym dachem. Który nie wierzy w nic poza ateizmem i kultem konsumpcji. Którego minister obrony to kobieta-pacyfistka, a żołnierze wspaniałej Bundeswehry, często transwestyci, nie zrobiliby poprawnie 20 pompek. Którego "słabszych" - kobiet, dzieci i starców, chcą bronić nie niemieccy mężczyźni, lecz np. niektórzy polscy narodowcy.

Jednym z nich jest znany z mediów Marian Kowalski. Na wiecu w Lublinie, zorganizowanym przeciw agentom Sorosa z tzw. KOD-u, nawiązywał on do wydarzeń z Kolonii. Mówił o unijnych biurokratach z wyraźnym oburzeniem: "Doprowadzili do takiego sk... Europy, że nawet Niemcy nie są bezpieczni we własnym kraju!" Oraz: "Nie pozwolimy im [tj. imigrantom] na gwałcenie niemieckich kobiet!".

Ale jedna jaskółka wiosny nie czyni. W niecałe kilka dni od plagi gwałtów, która przetoczyła się przez kilka miast w Niemczech, zajął na profil "Polityki Narodowej", zaczepiony na portalu społecznościowym. A tam arcywesoly wpis, opublikowany ku pamięci jednego z ojców-założycieli endecji, Jana Ludwika Popławskiego:

"Jako że zagrożenie niemieckie, w nowej formie dyktatury poprawności politycznej oraz wpływów unijnych, wciąż wydaje się aktualne, przypomnijmy słowa tego Wielkiego Polaka:

"Od 1000 lat zalew niemiecki systematycznie podrywał nasze dziedziny... Potęgą państwa pruskiego i kultury niemieckiej przerażać może tych tylko, którzy w przyszłość patrzeć nie umieją, a przeszłości nie pamiętają."

W tym momencie poczułem, że coś po prostu wyrzuca mnie z butów. I to właśnie jest przyczyną napisania przeze mnie tego jakże przydługiego tekstu. Od razu ośmieliłem się "poprawić po profesorze" pisząc, że Popławski nie miał racji - to właśnie wietrzy cieli "odwiecznego zagrożenia niemieckiego" owa potęga niemiecka przeraża najbardziej. Dlatego całą jego sentencję uznaję za dogłębnie nielogiczną. Jak zresztą całą koncepcję budowania polskiej jedności i narodowej siły na paranoicznym strachu przed Niemcami. Był to moim zdaniem błędny krok, postawiony przez endecję na kilka lat przed I wojną światową, z którego nie wyciągnięto nigdy wniosków, a tylko pogłębiano błędne myślenie, szykując grunt pod polskie klęski. Krok ten zrodził wiele wstrząsów, zwłaszcza w mazowieckich strukturach ruchu narodowego. Fronda w postaci chociażby Narodowego Związku Robotniczego była bezpośrednim skutkiem "przesunięcia wskazówki". Wielu narodowców, w czasach gdy idea narodowa była wciąż bardzo młoda, nie chciało zgodzić się na to, aby środek ciężkości w całej pałecie "wrogów Polski" miał przypaść akurat Niemcom, a nie chociażby caratowi, Żydom, czy ruchowi socjalistycznemu.

Nad napisaniem tego tekstu głowiłem się kilka tygodni, a proces jego tworzenia trwał kilka razy dłużej. Tym bardziej, że trudno w niniejszym temacie znaleźć jakąś niszę czy swoistą specjalność, trzeba po prostu omówić całość, a to zahacza o syzyfowe dzieło zredefiniowania polskiego systemu myślenia. Kwestia niemiecka to w polskim środowisku narodowym i szerzej - pravicowym - coś, o czym się nie dyskutuje na poważnie, tylko pisze hagiady. I to w dosłownym sensie. Zamiast rzeczowej analizy jakże kompleksowych stosunków między naszymi państwami i narodami, bez przerwy słyszymy słowolejstwo: krzyżacy, niemiecka Unia, niemieccy Żydzi, niemieccy Rotszyldowie, niemiecka ekspansja etc. Ten fałszywy z założenia dyskurs rodzi wiele zatrutych owoców. Widać to zarówno wśród młodych narodowców, jak i "starych" owych nigdy nie nadających za trendem dinozaurów chwających się wszystkim naokoło obecnością na jakiejś zapomnianej przez nikogo manife z przełomu lat 80. i 90. Jak można nie nazwać wariatem człowieka, który wygłasza setki antyniemieckich tyrad na portalu społecznościowym, a jednocześnie za swój profil przedstawia zdjęcie jakiegoś Wikinga z narodowosocjalistycznego afiszu propagandowego? Takich przykładów jest naprawdę co niemiara. W latach 90. na polskich ulicach roilo się od gołających się na tyso idiotów, którzy swoją nienawiść do Niemców łączyli z uwielbieniem dla Hitlera. To wszystko było wypadkową trzech czynników: swoistej patologizacji środowiska mniającego się narodowym, wiekowej, najmniej stuletniej, polskiej mitomanii oraz właśnie antyniemieckiej obsesji, której chcę poświęcić cały ten esej.

Tymczasem toczenie piany w stronę któregośkolwiek z sąsiadów jest dzisiaj zupełnie niepotrzebne i szkodliwe. Podobny zalew hysterii i paranoi co w kwestii niemieckiej towarzyszy narodowcom w tematyce Ukrainy i dzisiejszego nacjonalizmu ukraińskiego. Tym niemniej w przeciwieństwie do kwestii ukraińskiej, gdzie faktycznie Polska nadal nie usłyszała przeprosin za Rzeź Wołyńską, względnie raczona jest - przez oficjalne kręgi w Kijowie, jak i nacjonalistów - opowieściami o "tragedii" vel "bratobójczych walkach", strona niemiecka wyraziła swoje przeprosiny, żal i skruchę za wszystkie zbrodnie dokonane w Polsce podczas ostatniej wojny, a polska mityczna "granica zachodnia" (skąd ten cudzysłów - wyjaśnienie w części drugiej tekstu) została zatwierdzona jakimś lichym traktatem. Co prawda możemy się domyślać, że stanowisko oficjalnych elit złożonych eksklusywnie z amerykańskich (a wcześniej także sowieckich) wasali nie musi koniecznie współgrać z zepchniętym do podziemia "duchem niemieckim", który nadal może żywić do nas niechęć, pretensje o to i tamto. Ale faktem jest (w 100% ignorowanym), że i owe narodowe niedobitki wśród Niemców dzisiaj zaczynają mówić całkowicie innym głosem. Paradoksalnie, w tym samym momencie, gdy niemieckie oficjalne elity zaczynają Polskę atakować za delikatne odchylenie naszego kraju od marksistowskiej religii spajającej Związek Europejski. Czy więc nie nadszedł czas, aby niemieccy i polscy patrioci poszli razem do walki o lepsze jutro w ramach nadchodzącej drugiej Wiosny Ludów? Polscy narodowcy jak sądzą w swej masie odkrzykną - nie. I znów usłyszymy zidiociały słowotok na poziomie bajeczki o Wandzie, w którym wezmą udział nawet "intelektualiści" z tzw. ruchu.

Przejdźmy zatem do powodów płodzenia takich a nie innych analiz bądź "analiz" w wydaniu zatroskanych o losy Polski patriotów, pravicowców, narodowców etc. Dlaczego zawsze Niemcy? Co czyni z ich "naczelnych" wrogów? Doszedłem do wniosku, że czas się porządnie umoczyć w gnojówce i dojść wreszcie do sedna tej jakże palącej kwestii.

Część I: "Jak świat światem", czyli rzecz o odwiecznych wrogach i trochę o przekroju dziejów

Czas to napisać wprost: analizowanie stosunków polsko-niemieckich przez pryzmat dwóch złowieszczych słów - Hakata i Gestapo - jest czymś naprawdę absurdalnym. Na ogół, w naszej historii, te stosunki były wyważone, rywalizacja mieszała się w nich ze współdziałaniem, ale przeważało dobre sąsiedztwo. Za czasów Chrobrego, niemiecki cesarz Otton III rysował koncepcję trójstronnej unifikacji Europy, w której Polska byłaby jednym z naczelnych filarów. Później Otton zmarł, koncepcja upadła na następne 1000 lat, a państwo Polan rozpoczęło agresywny szlak podbojów, który nie oszczędzał także terytoriów niemieckich, czy też pospiesznie niemieczonych. Chrobry jednak przekalkulował w swoich inwestycjach, a skutki jego nadmiernej agresywnej polityki odczuwali jego następcy aż do wygaśnięcia dynastii piastowskiej. Pokrótce, rodzące się państwo polskie było atakowane ze wszystkich stron, a następnie uległo rozbięciu dzielnicowemu. Już w tym momencie ignorowanie faktu, że Chrobry był władcą okrutnym, a jego drużyna - swoistym prekursorem opryczyni, pomaga płodzonym przez germanofobów legendom, iż jakieś niemieckie knowania przywiodły Polskę na skraj upadku.

W tym momencie dziejowym rozpoczyna się lament współczesnych tzw. analityków nad "słowiańskim losem". Biedaki rozglądające się za krzyżakiem czyhającym na nich w lodówce często oplakują "braci Słowian" żyjących na zachód od tradycyjnej polskiej granicy etnicznej na Odrze i Nysie, których zasymilowało i zniemczyło Cesarstwo. W jakiś przedziwny sposób łączą tę politykę z domniemanym "antypolonizmem", z nastawianiem Niemiec na wczesną Polskę. Jak można wysuwać w ogóle taki argument, skoro dla owych zachodnich Słowian, wyznających pogaństwo (Berlin był słowiańskim targiem niewolników, na którym sprzedawano porwanych chrześcijan), państwo Polan od 966 roku było niczym innym jak opresyjnym reżimem, dobijającym ich do spółki z Cesarstwem? Jeżeli daleko im było do niemieckiego pana, to tym bardziej nienawidzili tworzącej się Polski, gdyż w tamtych czasach niemiecki pleban, do spółki z włoskim i francuskim, bawił także po prawej stronie Odry, przyuczając polskich braciszek. Poza tym kryterium etniczne nakazywałoby w takim razie uznać za "polskie" także wszystkie inne ziemie słowiańskie w Środkowej Europie i w ogóle na całym Bożym świecie. Kamczątka dla Polaków i tym samym niemiecki slogan z czasów wojny "za Ural" właśnie nabiera zupełnie innego znaczenia. Czyż nie jest to czysty idiotyzm? Podobnie nikt o zdrowych zmysłach nie uzna Anglii za "ziemię niemiecką" tylko dlatego, że skolonizowali ją niegdyś germańscy Anglosasi, dziesiątkując tubylcze ludy gaelickie i obejmując nad nimi władzę, potem jej germańskość ugruntował jeszcze mocniej Wilhelm Zdobywca, a obecna dynastia panująca to nie zmyślony pseudonim "Windsorowie" tylko ród Sachsen-Koburg-Gotha-Battenberg, czystej krwi Niemcy. A jednak w 1940 roku, gdy Hitler pragnął wcielić do germańskiej macierzy stary Albion, flegmatyczni Anglosasi odpowiedzieli mu najbardziej agresywnym zrywem w całej swej historii, wymazując mu z mapy Drezno i Hamburg. Kryterium etniczne to zatem zdecydowanie za mało, by decydować o przynależności ziem do danego państwa. To tylko baza, na której budowały się narody europy, rozwijając własną odrębną kulturę.

Skoro jesteśmy już przy początkach i owej bazie, to warto byłoby przypomnieć wielkiego polskiego historyka Karola Szajnochę i jego teorię o germańskich (skandynewskich) korzeniach narodowości oraz państwowości polskiej wyłożoną obszernie w pracy "Lechicki początek Polski" napisanej w 1858 roku. Nie jest to miejsce na recenzję i rozbudowaną ocenę owej teorii, ale kompletnym laikom warto rzucić kilka abstraktów. Otóż Szajnochę uważał m.in., że podobnie jak Waregowie na Rusi, tak normańskie plemiona przeprowały się przez Wisłę i Wartę, dając początek nacji Lechitów. Z jej szeregów miał wyłonić się m.in. władca Popiel, którego obalił Słowianin Piast. W kilku źródłach kronikarzy niemieckich Szajnochę znalazł definicję Sarmatów jako zlepkę normańskich szczepów. Zwracał

uwagę na zachowania i obycajze w dworze Chrobrego, które miały być ludzaco podobne do tych znanych u Wikingów. Wskazywał, iż biały orzeł miał bardzo doniosłe znaczenie we wczesnej symbolice skandynawskiej, podobnie jak zasada białej i czerwonej tarczy, symbolizujących odpowiednio pokój i wojnę. Przechodząc do spraw bardziej szczegółowych, Szajnocha analizował dokładnie polskie słowa o doniosłym znaczeniu i przypisywał im normańskie pochodzenie: szlachta od normańskiego słowa "slag" (ród), sejm od "saejma" (rada, zgromadzenie), lichwa od "leihran" (pożyczanie) etc. Podobnych zbieżności w słowach bardziej pospolitych znalazł Szajnocha znacznie więcej. Również końcówki nazwisk "ski"/"ska", przywoływały historykowi na myśl nazewnictwo czysto skandynawskie, podobnie jak nazwy niektórych grodów i osad. I tak choćby Gdańsk miał być modyfikacją pierwotnego Dansk etc etc.

Nie uważam tego, co głosił ów zasłużony historyk za swoją biblię polskiej etnogenezy, jednak uznaję zasadność przynajmniej części jego argumentów i kompletnie nie przemawiają do mnie głosy odrzucające wszystko, co napisał. Można z dużą dozą prawdopodobieństwa przyjąć, że u samych podstaw polskiej państwowości krew germańska przynajmniej mieszała się w niej mocno ze słowiańską. Rządy pierwszych Piastów przypominały zresztą do złudzenia metody germańskie w swoim okrutnym zamordyzmie. Natomiast skręt w stronę tak typowego dla Słowian republikanizmu (i rodzącej się z niego pół-anarchii) zaliczyliśmy wraz z późniejszą unią polsko-litewską, której schedą dla Polaków było zajęcie ogromnych połaci Rusi, nazwanej później Ukrainą. Być może dopiero wtedy bardziej nordycecy niżli słowiańscy Polacy ulegli raptownej sławizacji, asymilując w ogromnej mierze pierwiastek ruski i białoruski? Rusini zresztą do dziś nazywają nas po skandynawsku: "Lachy", na co zwracał szczególną uwagę Szajnocha. To tylko domniemanie jednego z zasłużonych historyków, ale gdyby miał rację - to co? Czy od germańskości upadłaby polskość? Absurd.

Są to bowiem kwestie trzeciorzędne. Przecież i Niemcy wchłonęły ogromny pierwiastek krwi słowiańskiej. Przywołam w tym miejscu Władysława Studnickiego, znanego polskiego germanofila i naszego najbardziej genialnego analityka stosunków międzynarodowych w historii: "W Polsce kolonizacja niemiecka w ciągu wieków polszczyła się, w Prusach nastąpiła germanizacja pewnej ilości Polaków i innych Słowian. Ludność wschodnich Niemiec ma w swoich żyłach dużo krwi słowiańskiej, Polacy dużo krwi niemieckiej. Wszystko to wywołuje rasowe pokrewieństwo między Polakami a Niemcami, a wyłącza wstręty rasowe. W 1912 roku przeglądając statystykę małżeństw mieszanych w Poznaniu, skonstatowałem olbrzymi procent małżeństw polsko-niemieckich. Tymczasem w Wilnie lub Grodnie procent mieszanych małżeństw polsko-rosyjskich był nikły."

Kiedy wykładając te fakty w debatach z antyniemiecko nastawionymi nacjonalistami dochodzę do wyczerpania arsenału, to zawsze czekają mnie dwa scenariusze: albo dyskutant to wszystko podważa jakimiś legendami o przysłowiowej Wandzie i da mi do zrozumienia, że właśnie zmarnowałem dobre kilkadziesiąt minut życia, albo też zrzęcznie przeskoczy od spraw etnicznych do zagadnienia wrogiej, niby od zarania dziejów, państwowości niemieckiej. Może to nie "wojna krwi", ale naszych państw jest nieuchronna, gdyż warunkuje ją sąsiedztwo i agresywny charakter władztwa niemieckiego, będzie dowodził się może. Dochodzi do sytuacji, w których ludzie nie posiadani przeze mnie o intelektualną ułomność wygłaszają tak katastrofalne brednie, jak choćby: "Niemcy powstały po to, aby zniszczyć Polskę"(!!). To nie jest żart. To dosłownie. Z litości pomnę autora. Jakże wzorowy, modelowy przykład polskiej megalomanii wynikającej z kobiecego charakteru naszej nacji. Tylko w Polsce można bez ryzyka ośmieszenia wygłaszać tezę, że jakieś państwo powstało - i to przed powstaniem państwa polskiego - aby zniszczyć państwo polskie. Identycznie rozpatrujemy cały przekrój naszych dziejów; Niemcy powstały, aby zniszczyć Polskę, druga wojna światowa wybuchła, bo Polska sprzeciwiła się Niemcom, Niemcy przegrały drugą wojnę światową, gdyż Polacy walczyli z nimi na wszystkich frontach. Bardzo podobnie analizujemy swoje stosunki z innymi sąsiadami i w ogóle całym światem. Niestety, są to idiotyczne hagady. Lepiej byśmy się z nich wyleczyli, zanim ich skutki będą dla nas śmiertelne.

Tak czy inaczej, stosunki polsko-niemieckie w owym czasie nie różniły się szczególnie od polskich zatargów z Czechami, czy Rusinami. Poszczególne interwencje niemieckich margrabiów lub cesarzy były odpłacane, a poza tym towarzyszył im także polski czynnik wewnętrzny - jak wołanie o wsparcie ze strony księcia Zbigniewa, pozostającego w sporze z Bolesławem Krzywoustym. Później granica polsko-niemiecka należała do spokojniejszych, w miastach na Śląsku żywoły polski i niemiecki współżyły w przykładowej harmonii, ale jednocześnie pojawił się wątek krzyżacki.

Krzyżacy to jeden z najmocniejszych symboli szeroko pojmowanej "niemieckości", czy też "niemczyzny" w Polsce. Jak każdy Zakon rycerski w służbie Kościoła Katolickiego (nie licząc może rozbitych przez Rosjan i również niemieckich Kawalerów Mieczowych) przeszli oni mutację od idealistycznej organizacji orężnych misjonarzy w zbrojną gildię handlową o charakterze quasi-państwowym, nie wstydząc się nawet kontaktów o charakterze zarobkowym z innowiercami (słynne konszachty Templariuszy z Żydami i Saracenami), czy innych aktów odstępstwa od pierwotnych reguł zakonnych. Z czasem zakony stawały się zbyt uciążliwe dla władców łacińskiej Europy. Ci więc rozprawiali się z nimi - brutalnie, jak Filip Piękny z de Molay'em i jego świtą bądź bardziej dyplomatycznie jak Zygmunt Stary właśnie z krzyżakami.

W Polsce mit krzyżaka położył podwaliny pod ową przesadną i momentami obsesyjną antyniemieckość, którą obserwujemy i dziś. Ogromną zasługę na tym polu poniósł jeden z naszych najwybitniejszych powieściopisarzy (a może najwybitniejszy), Henryk Sienkiewicz. Odrzucając na moment romantyczną otoczkę "Krzyżaków" należy oczywiście potwierdzić przewodnią tezę historyczną dzieła - Zakon Krzyżacki był oczywiście poważnym zagrożeniem dla polskich aspiracji imperialnych, z którym na szczęście Polska sobie ostatecznie poradziła. Z drugiej strony nie wolno nam bagatelizować faktu, iż Sienkiewicz skupiał się w swoich powieściach na najędzicach germańskich (Szwedach, Niemcach) bądź problemach wewnętrznych Rzeczypospolitej (kozacy, samodzielna polityka dworu Radziwiłłów) ze względu na rygor rosyjskiej cenzury - a przeciw głównym odbiorcą jego książek był Polak mieszkający w Kongresówce. Pomogło to wykreować fałszywe wrazenie, powielane w publicystyce i propagandzie niektórych kół politycznych, iż niemiecki wróg jest w jakiś sposób szczególny, co oczywiście odpowiadało późniejszej propagandzie w czasach PRL, gdy główne dzieła Sienkiewicza (poza niepoprawnym politycznie "Ogniem i Mieczem") były ekranizowane i popularyzowane. Pamiętać należy, że nawet jego doskonale znana nowela "Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela" tak naprawdę obrazowała realia polskiej szkoły w zaborze rosyjskim, tyle że ze względu na cenzurę musiała zostać przeniesiona na realia pruskie. Co więcej, gdy w 1910 roku endecy wraz z neosławistami chcieli posłużyć się sylwetką Sienkiewicza do szykowanych wówczas obchodów 500-letniej rocznicy Bitwy pod Grunwaldem, ten po namyśle odmówił partycytacji. Podaje się zresztą, że polityczne zamieszanie wokół owych obchodów przyczyniło się do pogorszenia jego stanu zdrowia i w konsekwencji - śmierci.

Sienkiewiczowski obraz Niemca jako fałszywego, podstępnego krzyżaka odcisnął tym niemniej ogromne piętno na postrzeganiu Niemców w Polsce. Piętno, którego pisarz być może nie chciał już pogłębiać przez uczestnictwo w manifestacji politycznej, mającej na celu skierować uwagę społeczeństwa polskiego w Kongresówce na "zagrożenie niemieckie", tym samym osłabiając sentymenty antyrosyjski. Moim zdaniem sprawa polsko-krzyżacka nie miała wiele wspólnego ze stosunkami polsko-niemieckimi. To za wąski kontekst, gdyż krzyżacy nie mieli wówczas monopolu na politykę niemiecką - było jeszcze ogromne Cesarstwo. Był to raczej konflikt państwa z uciążliwą gildią handlową, która poradziwszy sobie w imię polskiego króla z pogańską irredentą na Pomorzu, sama stała się problemem nadrzędnym. Kolejną rzeczą, o której musimy pamiętać, jest zaniechanie ze strony króla Zygmunta udzielenia pomocy katolikom w państwie zakonnym po hołdzie pruskim i konwersji dworu Hohenzollernów na protestantyzm. Poprzez zaniechanie, polski monarcha uzyskał koncesje krótkoterminowe - osłabienie żywiołu niemieckiego w Prusach poprzez jego skonfliktowanie z Cesarstwem, jednocześnie dając początek problemowi długoterminowemu - rozwojowi niemieckiego protestantyzmu, który w połączeniu z Schopenhauerem i Heglem da w XX wieku herezję hitlerizmu. Bowiem to w Prusach wyległy się "nowe Niemcy".

Odłożywszy tymczasem Sienkiewicza i ukute przez niego "krzyżackie knowanie", przejdźmy do dalszej części naszej historycznej opowieści. Rozbite państwo zakonu krzyżackiego wiąże się z o wiele ważniejszym wydarzeniem w polskich dziejach: unią polsko-litewską. I ono przez germanofobów często staje się wykoślawione, pomniejsza się jego sens. Narracja, którą posługują się obsesyjni "anty-Niemcy" brzmi mniej więcej tak: Litwini oraz Polacy czuli się zagrożeni przez krzyżaków, którzy pragnęli co najmniej zniszczyć polską i litewską siłę zbrojną oraz podporządkować sobie te dwa kraje. W odpowiedzi na to i w ruchu czysto obronnym oba te kraje związały się z sobą unią. Zupełnie przypadkowo - i fajnie się stało - dała ona początek wielkiemu imperium. Czy nie wydaje się to nikomu odrobinę naiwne i głupie, by tak analizować polskie dzieje? Oczywiście w unii polsko-litewskiej kwestia krzyżacka nie stanowiła priorytetu - był to wyłącznie pretekst do zbliżenia.

Po hołdzie pruskim i rozszarpaniu Niemiec wojną trzydziestoletnią, na kilkaset lat kwestia niemiecka ustępuje w polskiej polityce zagranicznej kwestii ruskiej, szwedzkiej, tureckiej, tatarskiej etc. Tutaj Niemcożery zawsze tracą impet w swoich bajdurzeniach, bo niewiele istotnych rzeczy można powiedzieć o Niemcach w okresie, gdy Szwedzi rozjechali i spalili nam połowę o wiele bardziej olbrzymiego niż dziś kraju, gdy Tatarzy i Turcy napadali i brali w jasyr tysiące polskich kobiet, gdy Rusini wznecali krwawe rebelle przeciw polskim możnowładcom, jednakowoż krwawo tłumione. A jak wiadomo, polska prawica uznaje zasadę: o Niemcach źle lub wcale. Więc o czym by tu w ogóle przypominać? Przejdźmy od razu do XX wieku i wyjmy w niebogłosy o zbrodniach dirlewangerowców w Warszawie.

Jakież był więc stosunek ówczesnych Niemców do targanej zagrożeniami potęgi wielkiej Rzeczypospolitej? Znow bezbłędnie Studnicki:

"Polska Jagiellonów i pierwszych Wazów, jako potęga pierwszorzędna, imponowała rozdartym, krwawiącym się w walkach religijnych Niemcom. Z głębi Niemiec odezwały się głosy protestu przeciw inwazji szwedzkiej oraz brandenburskiemu w niej uczestnictwu. Obywatel Frankfurtu nad Menem, autor "Polonia Suspirans" oplakiwał cierpienia Polski; uczoney Schuppius przepowiadał z jej upadku oplakane dla Europy skutki. Toteż wielki wysiłek narodowy, który wówczas wydzwignął Rzeczpospolitą, wywołał entuzjazm wśród wybitniejszych Niemców. Leibnitz wychwala Polskę. Osiecz wiedeńska postawiła Polskę u szczytu popularności w Niemczech. 70-letnie rządy saskie w Polsce wywołały szereg studiów niemieckich pisarzy z zakresu historii Polski i polskiego prawodawstwa. W okresie panowania Stanisława Augusta Mitzler de Koloff zaczął wydawać w Warszawie obszerny zbiór przekładów z polskiego pt. "Warschauer Bibliothek", dla zapoznania Niemców z literaturą polską."

Oczywiście wszystko to ulega pewnej zmianie wraz z podnoszeniem w świecie niemieckim głowy przez herezję protestancką i jej stopniowym deptaniem wpływów katolickich. I tak, jak w trakcie Potopu Niemcy stają po obu stronach wojny - klasztor na Jasnej Górze oblega słynny generał Burchard Müller von der Lühnen, tak w odsiecz Polakom z 16 000 żołnierzy przybywa z Austrii marszałek Melchior von Hatzfeldt. Od tej pory antagonizm polsko-niemiecki jest w dużej mierze wypadkową wojny religijnej w Europie. Jest to początek bardzo charakterystycznego dualizmu w stosunkach polsko-niemieckich. Od tej pory będzie w niemieckich krajach tylu zwolenników, co wrogów sprawy polskiej. Oczywiście, nie ma co generalizować pod kątem wyznaniowym: pamiętajmy, że nie wszyscy niemieccy luteranie byli zdeklarowanymi wrogami Rzeczypospolitej. Przeciwnie, wielu z nich uznawało nasz kraj za azyl religijnej i kulturowej tolerancji.

Kiedy na scenę polityczną w Europie wchodzi Prusy, jako twór państwowy zajmują Polskę stanowisko nieprzychylnie. I tutaj nie ma co się spierać, iż Prusy nastawały na rozbiór Rzeczypospolitej, który pozwoliłby im na połączenie odizolowanych od siebie prowincji i w konsekwencji zagrożić hegemonii Habsburgów w świecie niemieckim. Co jednak z dalszymi losami naszego państwa? Często na prawicy wyciągana jest stara teza, iż nie tylko na pierwszym, ale na wszystkich rozbiorach zależało wyłącznie Prusom, ponieważ Rosja i tak dominowała swoim wpływem nad całą Rzeczpospolitą, a

zatem rozczłonkowanie tego państwa ograniczało jej zasięg politycznego rażenia. Wychodzi na wierzch nieznamość geopolityki w wydaniu imperium rosyjskiego - imperium, które graniczyło z kim chciało, a nie chciało graniczyć z nikim. Nie było więc na dłuższą metę możliwości utrzymania tak wielkiej państwowości jak Rzeczpospolita wobec napierającego na nią rosyjskiego kolosa, dla którego posiadanie terenów Wielkiego Księstwa Litewskiego z Ukrainą otwierało drogę do hegemonii w Europie Środkowej. Chyba, że nastąpiłaby wojna, która odrzuciłaby owego kolosa na wschód. I tu wkracza na scenę sprawa sojuszu Polski z Prusami, ostatniej deski ratunkowej dla Rzeczypospolitej. Polski germanofil Studnicki postrzega ów alians odmiennie niż oficjalna polska historiografia, każąca batożyć moralnie przede wszystkim Niemcy:

"Przymierze polsko-pruskie z 1790r., przedstawiane zazwyczaj całkiem niesłusznie przez naszych historyków publicystów jako objaw podejścia i zdrady Prus, było podjęte w myśl racji stanu pruskiej i miało być wymierzone najpierw przeciwko Austrii, a następnie przeciwko Rosji. Prusy przede wszystkim pragnęły osłabienia Austrii, będącej jej współzawodnikiem w Rzeszy. Stąd rade były odebrać jej Galicję, przy tym pragnęły bezpośrednio połączenia Brandenburgii z Prusami Wschodnimi. Dlatego to pożądały Prus Zachodnich wspólnie z Gdańskiem i Toruniem. Za zwrot Polsce Galicji, odebranej od Austrii, pragnęły otrzymać te dwa miasta. Uchwała sejmu polskiego, zakazująca ustąpienia jakiegokolwiek bądź części polskiego terytorium, uniemożliwiała tę transakcję. Weksel wydany przez Polskę Prusom utracił swą walutę."

Brzmi znajomo, prawda? Zamieszkałe przez Niemców Gdańsk i Toruń w zamian za wspólne rozegranie wielkiej wojny napastniczej i podział ogromnych nabytków terytorialnych. Uchwała polska to ani piędzi ziemi, czy bardziej futurystycznie: ani guzika. Ale wróćmy do samego faktu rozbiorów. Tu niech matematyka zaważy nad sądem, kto w owym czasie nas najbardziej skrzywdził: oba państwa niemieckie zagarnęły 20% naszego terytorium, Rosja 80%. Można by tu postawić kropkę, ale dodajmy: rządy rosyjskie były znacznie bardziej brutalne od niemieckich, rusyfikacja dotkliwsza od germanizacji, co prowokowało do zbrojnych powstań, w konsekwencji okrutnie tłumionych, kończących się konfiskatą majątków, pokoleniowymi represjami, wywózkami. Jak zaś wiodło się Polakom w państwach niemieckich? Austrię zostawmy, polski duch narodowy praktycznie nie odczuł tego zaboru, chyba że w sposób dodatni. Natomiast w protestanckich Prusach faktycznie funkcjonowały prądy dyskryminacyjne i asymilacyjne względem Polaków. Czytelnikom, zapewne doskonale zaznajomionym z tą częścią historii naszych stosunków z Niemcami nie będę tych spraw przybliżał. Co jednak z drugą stroną medalu? Jaki był chociażby stosunek ogółu społeczeństwa niemieckiego do tragicznych losów Polski? Czy i o tym tak dobrze pamiętamy? Studnicki znów przytacza fakty dziś kompletnie nieznanne:

"Opinia publiczna w Prusach przyjęła bardzo niechętnie wytoczenie procesu przeciwko poznańczykom, którzy brali udział w powstaniu 1831 (...). Wielkie wrażenie wywarła praca Raumera o "upadku Polski", skierowana przeciw Fryderykowi Wielkiemu. W poezji niemieckiej powstaje charakterystyczne zjawisko: "Polenlieder", wiersze poświęcone bohaterskim walkom Polski i polskiej martyrologii. Sprawa polska była popularna w 1848 r.; wielokrotnie omawiano ją we frankfurckim parlamencie (...). Nie tylko przedstawiciele kierunku liberalnego, demokratycznego lub socjalistycznego podnosili sprawę odbudowy Polski, lecz i przedstawiciele oficjalnej polityki niemieckiej [czyli, rzecz jasna, nacjonalści i konserwatyści]. Buntzen, poseł pruski w Londynie w okresie wojny krymskiej opracował memoriał dla swojego rządu o potrzebie odbudowy Polski. W 1848 r. Betman-Holweg, ojciec późniejszego kanclerza Niemiec, wydaje pismo: "Deutsch-franzosische Jahrbucher", w którym propaguje odbudowę Polski. Rzecz charakterystyczna, syn jego w charakterze kanclerza Niemiec przygotowuje manifest proklamujący państwo polskie w 1916 r. Promotorem zaś aktu 5 listopada był gen. Beseler, którego ojciec we frankfurckim parlamencie głosił za odbudową Polski."

Tym sposobem zgrabnie i jakże prędko wchodzimy w XX wiek. Owocem Aktu V listopada była działalność Tymczasowej Rady Stanu przekształconej później w Radę Stanu, a także Rady Regencyjnej. Przybliżenie Polaków ku upragnionej niepodległości było w dużej mierze zasługą nie tylko sprzyjającej koniunktury i ciężkiej pracy tamtego pokolenia, ale i koncepcji geopolitycznej, na którą postawiły niemieckie elity: Mitteleuropy. Tak, tej samej którą wielbiciele "pan-Słowiańszczyzny", wszelcy endecy i obsesyjni germanofobi straszili i do dziś straszą małe dzieci. Jej głównym autorem był sympatyzujący z Polakami Friedrich Naumann, którego znana jest sentencja: "Polak, który dobrze pojmuje swój narodowy rozwój, musi chcieć połączyć go z rozwojem niemieckim i środkowoeuropejskim." Swoje koncepcje przedstawił z Naumann w wydanej w październiku 1915 roku głośnej pracy zatytułowanej właśnie Mitteleuropa. Niemiecki pisarz szerzej poruszył kwestię polską dwa lata później, kiedy w rękach Niemców była już Warszawa. W zaakceptowanym przez cenzurę okupacyjną artykule "Co będzie z Polską?" pisał: "Z niemieckiego punktu widzenia należy sobie życzyć, by jak najszybciej powstało nowe polskie życie, gdyż jedynie postępową, pełną zapału do działania i odnoszącą sukcesy Polska będzie stanowiła trwałą, wyraźną granicę między sobą a Rosją."

Georg Cleinow, szef prasowy Naczelnego Dowództwa niemieckiej armii wschodniej opracował w tym samym czasie mapę pożądaną przez niemieckich generałów Polski - jej zachodnia granica pokrywała się z granicą Królestwa Kongresowego z niewielką jej "korycją" na korzyść Niemiec, jednak wschodnie granice opierały się na Dźwinie i Berezynie. Podobnie przychylnie stanowisko wobec sprawy polskiej zajął gubernator okupowanej Warszawy gen. Beseler (któremu część twardogłowych nacjonalistów niemieckich nie mogła wybaczyć polonofilstwa). Beseler prędko znalazł wśród Polaków sojusznika dla niemieckich aspiracji geopolitycznych - był nim cytowany tu wielokrotnie Władysław Studnicki. Był jednak jeden zasadniczy problem - za germanofilem Studnickim stał jedynie niewielki Klub Państwotwórców Polskich, złożony w większości z byłych endeków zrażonych prorosyjską linią polityczną wytyczoną przez Dmowskiego. Nie była to w żadnym razie siła przeważająca, pozostawała w głębokiej defensywie wobec głównych nurtów - pilsudczyków, socjalistów, endeków, ludowców etc.

W tych środowiskach, pomimo tylu różnic między nimi, w kwestii niemieckiej dominował wspólny klimat "Roty" i wietrzenia wszędzie podstępnego prusackiego spisku, przeciw któremu należy przeciwstawić... bierność i głuchotę na niemieckie wezwania do masowego werbunku do nowej polskiej armii. Armii wyszkolonej i dozbrojonej przez potężne Niemcy, a nie przez sypiącą się, skorodowaną Austrię, która już w 1915 roku udowodniła swoją niemożność w konfrontacji z Rosją. Armii, która po zalamaniu się Niemiec wskutek drugoczącej porażki na zachodzie, uległaby całkowitemu wyemancypowaniu spod niemieckich skrzydeł i stałaby się suwerenną, polską siłą zbroijną. Nawet Józef Piłsudski, który do tej pory rozumiał Studnickiego, zarzucił mu germanofilstwo i pozostał przy "armii na pół gwizdka" w postaci POW. Było to klasyczne "za, a nawet przeciw" wypowiedziane przez stronę polską. Studnicki pozostał niemal kompletnie odosobniony, a po uzyskaniu przez Polskę niepodległości, był stopniowo marginalizowany na rzecz "znacznie mądrzejszych" konkurentów - orędowników strategicznego sojuszu z Francją przeciw Niemcom. Owi poważni stratedzy do samego końca kampanii wrześniowej czekali na francuską kontrofensywę, gdy Studnicki kilka miesięcy wcześniej krzyczał i wybuchał nerwowym płaczem podczas procesu nad jego książką "Wobec nadchodzącej drugiej wojny światowej". Za głoszenie germanofilijskich herezji, że Niemcy z Sowietami zniszczą Polskę, a ukochana Francja nie kiwnie palcem, groziła mu Bereza Kartuska, od której uratował go jedynie podeszły wiek i być może wstawiennictwo któregoś z generałów.

Tym samym zmierzam ku końcowi części pierwszej. Z góry przepraszam czytelnika za ten rozwlekły wątek historyczny, ale naprawdę, nie da się inaczej uderzyć w rozgłaszane wszędzie banialuki o "odwiecznym nastawianiu Niemiec na Polskę", oparte na kompletnym nieuctwie. Ktoś mógłby mi zarzucić, że przedstawiłem ów mikroskopijny przekrój dziejów w sposób skrajnie jednostronny, oparty na tezach wyłącznie jednego autora, znanego z radykalnie proniemieckich poglądów. Zgadza się. Ale jest to forma uzasadniona, jako że drugą, złą stronę owych stosunków odmienia się przez wszystkie przypadki od co najmniej 100 lat, jest ona znana każdemu dziecku, przez 40 lat komunizmu była stałym elementem propagandy reżimowej, a dla prawicy wszelkiej maści do teraz stanowi niepodważalną ewangelię. Czy którykolwiek z autorów-niemcożerców przejął się analizami Studnickiego? Czy bierze je pod uwagę płodząc kolejne brednie o tysiacletnim zagrożeniu germańskim? Nie. Stąd nie czuję obowiązku tworzenia sztucznego "balansu". Jednak podejrzewam, że po moim artykule bredzenie na modłę skrajnie germanofobiczną stanie się dla tych ludzi ciut trudniejsze. A ja na każdego Hitlera zawsze odpowiem im Beselerem, na każdy polakożerczy film pokroju "Heimkehr" odpowiem Uwerturą Polonią Wagnera, opiewającą powstańców listopadowych. I już dogmat o "odwiecznym wrogu" runął. Bo w polityce środkowoeuropejskiej nie ma i nigdy nie było czegoś takiego jak "odwieczny wróg". Nasi najgorsi wrogowie - Tatarzy, Turcy Osmańscy, bolszewicy, zaoceaniczni plutokraci - zawsze przybywali z innych części świata, po tym jak je polknęli, zostawiając Europę na najbardziej smakowity deser. Rodzi to wielką wspólnotę interesów i uczuć, której tylko ślepcy i głupcy nie chcą dostrzec.

Ciąg dalszy nastąpi

Daniel Kitaszewski

Męczennicy

6 stycznia 1794, Noirmoutier, Francja

Na miejsce egzekucji oprawcy wnoszą mężczyznę, którego rany uczyniły inwalidą. Rany zdobyte w walce, która uczyniła Maurice D'Elbee generałem a zbieraninę chłopów Wielką Armią Katolicką i Królewską. Obejmując dowództwo po poległym pod Nantnes Jacques Cathelineau zwanym Świętym z Anjou, za zawsze zapisał się w poczcie rycerzy wojującego Christianas. W szeregach tych, którzy wypowiedzieli wojnę osobistym wrogom Pana Boga, przyniósł światło sztuki wojennej oraz dyscyplinę. Dał niejeden przykład osobistej odwagi w beznadziejnych bitwach przeciw liczniejszym wrogom. Po jednej ze zwycięskich potyczek, gdy jego żołnierze zapragnęli zemsty za krzywdy wyrządzone przez Republikę i jej Piekielne Kolumny, Maurice nie zgodził się na rozstrzelanie pochwyconych jeńców. Rozkazał Powstańcom odmawiać modlitwę „Ojcze Nasz”, którą przerwał w odpowiednim momencie pytając – jak możecie prosić Boga o przebaczenie jeżeli sami nie umiecie wybaczyć swoim wrogom? - po tych słowach puścił pojmany ch wolno. Wandejscy żołnierze nieraz płakali słysząc wieść o swoim wodzu, nazwanym Generałem Opatrzności. Rozstrzelanym, wraz, z końcem ich bohaterskiej epopei. Święci z Wandei – módlcie się za nami!

Wielkanoc 1938, 24 kwietnia, Rumunia

W więziennej celi, z dala od rodziny i bliskich Zmartwychwstania Pańskiego oczekuje Corneliu Codreanu. Skazany na samotność za walkę o odrodzenie moralne swojego narodu, sprawiedliwość dla najbiedniejszych i należne miejsce w historii ukochanej ojczyzny. To trzeci raz gdy spędza Wielkanoc w więzieniu. W modlitwach wymienia imiona poległych, którzy razem z nim porwali się do beznadziejnej walki. Widzi ich twarze, wspomina spędzone razem chwile. W tym samym czasie dowiaduje się, że Najwyższy Wojskowy Trybunał Kasacyjny odrzuca jego apelację. „Moja dusza umęczona jest przez niesprawiedliwość...” pisze ten sam człowiek, który wcześniej pisał drogowskazy dla swoich Legionistów. Ten sam, który 11 lat wcześniej mówił swoim towarzyszom: „O dziesiątej wieczorem, powołuję Legion Michała Archanioła pod moim przywództwem. Niech doń wstąpi ten, kto bezgranicznie wierzy. Niech poza nim pozostanie ten, kto ma wątpliwości”. Decyzja ta i ciąg wydarzeń, który nastąpił po niej kosztował Kapitana i wielu jego Legionistów życie. Na zawsze wpisując ich w kanon bohaterów europejskiej rewolucji.

10 lutego 1943, okolice Krasnego Boru, Związek Radziecki

„Wiosną daleko od mojej ojczyzny,

Wiosną daleko od mojej ukochanej,

Wiosną bez kwiatów, bez radości,

Wiosną na wojnie nad Wołchowem.”

(Primavera)

śpiewali żołnierze Błękitnej Dywizji walcząc pod obcym niebem z przeważającymi siłami wroga. Gotowi do zemsty za lata wojny we własnej ojczyźnie, gdzie ich rodziny, towarzysze i sąsiedzi cierpieli prześladowania. Ich bezbożni oprawcy kierowani przez zakrwawione dłonie oficerów NKWD ponieśli klęskę pod Madrytem w 1939 roku. Teraz w 1943 roku czerwona hydra znów zagraża narodom Europy. I znów jej serce musi zostać przebite bagnetem. W trakcie blokady Leningradu, nad rzeką Wołchow, pod Krasnym Borem, żołnierzom dywizji przychodzi stanąć do krwawej bitwy z Sowietami. Błękitni żołnierze śmieją się ze śmierci i odczuwają pogardę wobec porażki. W bitwie ponoszą zwycięstwo ale też liczne straty. Poświęcili się dla sprawy. W imię świętej nienawiści i chęci zemsty za krew swych rodaków, za zburzone świątynie. W imię miłości do Ojczyzny, zarówno tej w Niebie, jak i tutaj na Ziemi. W imię Wielkiej Hiszpanii i Wielkiej Europy.

Czerwiec 2014, Bartella, Irak

Po upadku Mosulu, co raz dalej i dalej maszeruje czarna hydra Państwa Islamskiego. Mieszkańcy asyryjskiej Bartelli zostali opuszczeni przez mające bronić miasta siły rządowe. Ludzie ci nie chcą jednak oddać swoich domów, rodzin i świątyń Islamistom bez walki. 600 z nich utworzyło milicję oraz postawiło barykady na obrzeżach miasta. Prędzej zginą niż przepuszczą wroga. Prędzej zginą niż wyrzekną się Chrystusa. Prędzej zginą niż uciekną. Prędzej zginą. A historia ta jest jedynie kroplą w morzu innych przykładów męczeństwa za Wiarę Chrystusową, która ma miejsce każdego dnia na Bliskim Wschodzie i całym świecie. To nie tylko tamtych 600 ochotników, to też żołnierze z Sootoro, Dweksh Nawsha, grup zbrojnych Syryjskiej Partii Socjal-Nacjonalistycznej czy Syryjskiej Armii Arabskiej. To nie tylko ci, którzy walczą ale też cywile bestialsko zamordowani w imieniu dżihadu. A jest ich znacznie więcej niż dziś się o tym mówi. Znacznie więcej niezłomnych i wyklętych. Nie tylko przez islamskich morderców ale też imperia politycznej poprawności, dla których śmierć chrześcijanina nie stanowi informacji.

Do opisanych powyżej historii nie chcę dodawać za dużo słów. Niech mówią same przez siebie. Być może otworzą oczy niektórym, że patriotyzm czy wiara oznaczają więcej niż nadruk na odzieży. Często sprzedawanej przez politycznie podejrzanych „przedsiębiorców”. Pamiętajmy, że jak pisał wódz Reksistów:

„Wiara ma wartość jedynie wtedy, gdy zdobywa, miłość – gdy płonie, a miłosierdzie – gdy zbawia.”

Leon Zawada

Zdelegalizować Islam czy deportować Shaded?

Coraz silniej środowiska narodowe w związku z zagrożeniem masową imigracją i problematyką systemu multikulturalizmu wysuwają jako głównego wroga islam. Przdaje w tym pewna Syryjka, która zdobyła popularność żądając delegalizacji tej wiary. Abstrahując na chwilę od tej osoby warto zastanowić się nad sensem uznawania islamu jako głównego wroga.

Jedną z największych religii świata, której wyznawcy mimo rozwoju globalnej cywilizacji zachowali duchowość, moralność, tradycję w sposób nieporównywalny do Europy, która od swych korzeni brutalnie się odcięła kilkadziesiąt lat temu. Bycie muzułmaninem jest jedną z najważniejszych tożsamości, to pewien styl życia, postrzegania świata, który różni go od innych ludzi na Ziemi. Muzułmanie wiedzą jak bronić swojej wiary. Nierzadko robią to z bronią w ręku. Gdy obrażony jest Ojciec Święty, czy Bóg Ojciec w Europie trudno szukać było jakiegoś odruchu obronnego na takie plugawe bluźnierstwa, a w przypadku obrażania Proroka Mahometa doszło do rozlewu krwi. Jest to ogromna różnica mentalności. Gdy ktoś popełni jawne bluźnierstwo musi zostać ukarany, a w Polsce, ostatniej europejskiej ostoji katolicyzmu w Europie, w takim przypadku najwyżej można usłyszeć o donosie do prokuratury czy kilku okrzykach. W Iranie, gdy świecki rząd chciał spacyfikować protesty studentów przeciwko otwarciu sklepów z wysokoprocentowym alkoholem (którego picie to ciężki grzech w islamie) skończyło się na walkach na śmierć i życie i obaleniu reżimu oraz ustanowieniu islamskiej republiki. Wydaje się, że większość osób krytykujących islam powołuje się na przykład Państwa Islamskiego, który ma być dowodem, że ta wiara jest najgorszą z możliwych, ludożerczą, niewołącą kobiety, mordującą chrześcijan, niszczącą starożytne dziedzictwo i zapewne „faszystowską i homofobiczną”. Rzeczywiście zwolennicy Państwa Islamskiego popełniają masowe zbrodnie, ludobójstwo, niewolą, narzucają innym swoje drakońskie prawa. Rzeczywiście nie są oni marginesem, Państwo Islamskie nigdy by nie zaistniało gdyby nie szerokie poparcie społeczeństwa i plemion na ziemiach przez jego kontrolowanych. Należy przy tym jednak trzeba przyznać, że jest to tylko jedna z form ekstremalnego islamu (Timbuktu jest przykładem o wiele bardziej surowej obyczajowo odmiany).

Pierwszą zasadniczą rzeczą jest zwrócenie uwagi na to, że takiego kształtu radykalizacji sunnitów i samego Państwa Islamskiego w ogóle by nie było gdyby nie ingerencje Zachodu. Bez inwazji na Irak nie byłoby marginalizowania sunnitów w Iraku co stało się przyczyną powstania ruchów z których powstało IS. Bez bombardowania „zielonych” Kadafiego nie byłoby Libii podzielonej między frakcje z których część to właśnie radykalni sunnici odwołujący się bezpośrednio do Państwa Islamskiego. Bez bezinteresownego wspierania państwa Izrael okupującego Palestynę nie byłoby nawet słynnego ataku na wieże WTC.

Drugą zasadniczą kwestią którą zwraca uwagę to fakt, że na całym Bliskim Wschodzie, także popierani często przez nacjonalistów, żołnierze Syryjskiej Armii Arabskiej idą do walki i giną w niej ze słowem Allaha na ustach, tak samo żołnierze Hezbollahu, radykałowie z Hamasu, czy Palestyńskiego Ruchu Oporu. Podobnie walczyli wierni Kadafiemu żołnierze Zielonej Libii. Nie ma znaczenia, czy państwo będzie świeckie, czy nie. Religijność nadal jest sprawą kluczową i powinno jak najbardziej pozytywnym zjawiskiem w krajach muzułmańskich w oczach mieszkańca wymierającej Europy i przykładem dla niego.

Krytykując islam musimy dostrzec, że tak naprawdę Europejcy nacjonałiści, tradycjonałiści, czy identytaryści mają z muzułmanami wiele wspólnych wartości, a przede wszystkim taką samą niechęć wobec liberalizmu, zbrodni, niszczenia kultury przez globalizm, czy banksterski syjonizm. Tutaj właśnie dochodzimy do najważniejszego wroga którym nie jest islam, tym wrogiem jest właśnie narzucony tradycyjnej Europie liberalizm oraz marksizm kulturowy dokonujący na naszym kontynencie obyczajowego spustoszenia, promocji radykalnego indywidualizmu, który sprawił, że nawet w tak rzekomo katolickim kraju jak Polska może się okazać, że rządząca większością partia prawicowa, chrześcijańska, nazywana nacjonalistyczną i fundamentalną przez lewactwo i liberałów zagłasuje przeciw całkowitemu zakazowi aborcji. Nie można oczywiście nie wspomnieć o realizowanej od dziesięcioleci przez wyznawców liberalnej ideologii masowej imigracji, która wspierana przez kapitalistów, lewackie i żydowskie organizacje (o wpływie żydowskim na imigrację pisałem szerzej w tekście „Awantura o (Kukłę) Żyda” publikowanym na kierunku.info.pl) ma miejsce od kilkadziesiąt lat.

W Europie opartej na silnym fundamencie chrześcijańskim i etnicznym taka sytuacja nie mogłaby mieć miejsca, lecz gdy pieniądź, ekonomia, stanowi większą wartość od Boga, Narodu, Rasy powstaje społeczeństwo pozbawione duchowości i fanatyzmu. A taka pustka nie może być wieczna. Nie może więc w żaden sposób dziwić, że w liberalnych społeczeństwach w takiej sytuacji szerzą się tradycyjne wartości bliskowschodnie. W obliczu nowej ery islamu część środowisk narodowych skupia się wyłącznie na zwalczaniu muzułmanów w Europie. Dochodzi wtedy do tak żałosnych obrazów jak wspólny front z pederastami i żydowskimi organizacjami, oraz odcinanie się od „radykalnych” nacjonalistów (przykład brytyjski: British Defence League, przykład francuski: Front Narodowy i część Bloku Identytarystów, przykład niemiecki: Pegida). Musimy sobie szczerze odpowiedzieć, że gdyby nie liberalizm w rozumieniu nie tylko obyczajowym, a ekonomicznym i następujący po nim marksizm kulturowy w rozumieniu multikulturowego-lewackiego-zboczonego lobby kreujące rzeczywistość w Europie i zwalczające „zacołane” chrześcijaństwo (głównie to tradycyjne w rozumieniu rzymskim) nie byłoby problematyki radykalnego islamu w Europie i problemu obcych kulturowo mniejszości etnicznych. Jedynym, prawdziwym wrogiem dla Polski jest wyłącznie ten zgnity, liberalny system, który mimo społecznego oporu może zaprowadzić w Polsce podobne etniczne zmiany jak na Zachodzie. Widoczna powoli jest faza przygotowywania społeczeństwa przez środowiska „gorszego sortu” do rozwiązania kryzysu demograficznego właśnie poprzez masowe sprowadzanie obcych kulturowo przedstawicieli innych ras.

Wracając do Syryjki. Miriam Shaded, której obca jest kultura rodowitego państwa, nie posiada odpowiednich kwalifikacji, by móc prezentować jakieś wartościowe poglądy w kwestii wiary islamskiej, a co dopiero wypowiadać się na ten temat w mediach. Wzywa do delegalizacji islamu oraz dowodzi jego sprzeczności z konstytucją (która gwarantuje wolność wyznania). Zastanawiające jest czy zdaje sobie ona sprawę, że prawo szariatu obowiązuje tylko w kilka państwach muzułmańskich? Na podstawie jej wypowiedzi wnioskować można, że to nie ma znaczenia, ponieważ islam zawsze jest totalitarny. Jak więc podchodzi do większości umiarkowanych muzułmanów, w tym jej rodaków, którzy od radykałów się odcinają, a nawet walczą z nimi na śmierć i życie? Na pewno oni podchodzą do niej bardzo negatywnie. Jedną z Syryjek zamieszkałych w Polsce związaną z środowiskiem aktywnie wspierającym rząd Assada oskarżyła Shaded i jej rodzinę o powiązania z fanatycznym anty-islamskim, pro-żydowskim protestantyzmem, a nawet żydowskimi oligarchami biznesowymi. Równocześnie Fundacja Shaded „Estera” zajmuje się sprowadzaniem imigrantów do Polski, co oczywiście jest sprzeczne z tym co głoszą nacjonałiści czyli sprzeciwem wobec jakichkolwiek imigrantów, także chrześcijan, których rzekomo sprowadza Shaded, zwłaszcza gdy ostatecznie okazuje się, że nie do końca chodzi o chrześcijan. Zresztą po sprowadzeniu, jak się okazuje, są zostawieni niemal sami sobie co skończyło się powrotem części (która okazała się zamożna) do Syrii, a część wyjechała do Niemiec.

Wracając do delegalizacji islamu. Wydaje mi się rzeczą obrzydliwą, gdy imigrantka „pierwszego pokolenia” Shaded domaga się delegalizacji islamu, gdy w Polsce żyje muzułmańska, tatarska społeczność od kilkuset lat, która jest o wiele bardziej polska, niż Shaded będzie kiedykolwiek mogła być w swoim żywocie. Wybitnych patriotów polskich Tatarów wyznania muzułmańskiego można wymienić dziesiątki. Tak jak reszta Polaków ginęli podczas Powstania Listopadowego, wojny polsko-bolszewickiej, podczas Wojny Obronnej w 1939, w Katyniu, udowodnili swoją wartość pod Narwikiem, Tobrukiem, Monte-Cassino, Arnhem. Gimbo-patrioci śliniący się na myśl o Wiktorii Wiedeńskiej Jana III Sobieskiego jako zwycięstwa nad islamem powinni wiedzieć, że właśnie muzułmanie Tatarzy uratowali życie Sobieskiemu w bitwie pod Parkanami za co król podarował im ziemię na Podlasiu w tym wieś Kryszyniany, gdzie stoi meczet, który stał się celem kilku anty-islamskich głupców jakiś czas temu. Polscy Tatarzy godnie zasłużyli się Rzeczypospolitej i nie muszą nikomu udowadniać komu są lojalni i nikt nie może im odebrać nigdy prawa do swoich tradycji i religii. Bardziej poważna od delegalizacji islamu wydawałaby się deportacja Shaded do Syrii. W końcu teoretyzując, żeby oczyścić Zachód z multikulturalizmu trzeba byłoby deportować stamtąd kilka pokoleń imigrantów, a Shaded jest z pierwszego. To oczywiście żart. Proponowałbym pani Shaded zając się nie delegacją islamu, a przyjrzeniem się przykładowo gminom żydowskim. W porównaniu do społeczności muzułmańskiej to właśnie tam pojawia się często antypolska retoryka, manipulacje historyczne, czy zwalczanie nacjonalizmu co zresztą jest też problematyczne na Węgrzech czy Grecji, gdzie gminy żydowskie wręcz chcą zakazać udziału nacjonalistom w demokracji mimo ich sporego poparcia społecznego i delegacji ich partii.

Witold Jan Dobrowolski

(na zdjęciu Żołnierze Pułku Jazdy Tatarskiej im. Mustafy Achmatowicza, wojna polsko-bolszewicka 1920).

Jednym z artykułów opublikowanych w poprzednim wydaniu miesięcznika “Szturm” był tekst pod tytułem “Wypaczenie dawnego znaczenia słowa <<feminizm>>”, w którym to autor Kacper Sikora przedstawił krótką historię początków ruchu feministycznego, jak i ocenił współczesny feminizm, ale wyłącznie poprzez pryzmat dominującego w nim liberalnego nurtu.[1] Zgadzam się z główną myślą autora, jakoby współczesne feministki w swej większości zapomniały kim być powinny, zresztą podobnie jak cała dzisiejsza “lewica”, która zamiast walczyć z wszechobecnym wyzyskiem i niesprawiedliwością, zajęła się obroną praw lub raczej walką o kolejne przywileje dla różnej maści degeneratów, a nawet do tej pory nienawidzonych kapitalistów, stając się karykaturą samych siebie. Słowo feminizm zostało nam dogłębnie zozydzone, co stanowi jednak wyłącznie subiektywne odczucie, które nie powinno być przedkładane nad realną ocenę, z jednej strony całego prądu feministycznego, z drugiej roli kobiet w społeczeństwie. Oczywiście zakładam możliwość rezygnacji z używania słowa feminizm, ponieważ walka toczy się o rzeczywistość, a nie słowa. Jednak w tym konkretnym tekście pragnę pozostać konsekwentna w używaniu tego terminu, mając jedynie nadzieję, że czytające mnie osoby wykażą się pełną chęcią wyjścia poza utarte schematy ignorancji oraz odrobiną dobrej woli. Musimy przestać bać się panicznie słowa feminizm, podejmowania tematów na pozór zarezerwowanych dla feministek, czy nawet uznania za feministki - nie ma w tym absolutnie nic złego, oczywiście o ile nada się temu odpowiednie ramy i naczelne priorytety, którymi dla każdej świadomej kobiety powinny być naród i Bóg. Feminizm nie narodził się ze znużenia przedstawicielki klasy posiadającej, jak chciałoby to wielu widzieć, ale z żywego poczucia niesprawiedliwości, a także przekonania o swojej własnej sile kobiet, za której pomocą można było udźwignąć część ciężarów społecznych, zamiast się z tego życia społecznego wycofywać. Musimy dążyć do zachowania jak najwyższego poziomu obiektywizmu przy ocenianiu historycznego znaczenia danego nurtu, jak i wpływu pierwotnych założeń na dalszy rozwój świadomości społecznej, a także oddziaływania na inne idee i wyzbyć się w tej kwestii zbędnych emocji i uogólnień. Warto dodać w tym miejscu, że XX wieczny postulat równouprawnienia kobiet nie był zarezerwowanym dla lewicy wymysłem, ale odpowiadającym duchowi czasów głosem rozsądku, który również był słyszalny w szeregach nacjonalistycznych:

“Nie może być i nie będzie w Polsce Narodowej żadnych formalno - prawnych, ani faktycznych ograniczeń kobiet w pracy politycznej: mężczyźni i kobiety muszą mieć równe szanse w pracy politycznej, równą możliwość osiągnięcia stanowisk politycznych, organizacyjnych, zawodowych i administracyjnych, zależnie jedynie od wartości charakteru i umysłu danej jednostki” [2]

Bez stereotypów i ograniczeń

W przywołanym przeze mnie wyżej fragmencie broszury “Wytyczne pracy kobiet” zawarta jest naczelna zasada dotycząca kwestii kobiecej, a mianowicie położenie konkretnej jednostki w społeczeństwie musi zależeć od jej umiejętności, a nie od społecznych przeświadczeń na temat roli danej płci. Nawet sytuacja, w której żadna kobieta spośród grupy 1000 nie nada się do służby wojskowej, nie zmienia faktu, że istnieje możliwość, iż kolejna zgłaszająca się kobieta będzie lepszym żołnierzem niż 90 % mężczyzn i dlatego nie można stawiać przed nią żadnych dodatkowych ograniczeń, jak tylko te wymagania, które stawiane są również przed mężczyznami. Między bajki należy włożyć opinie, chociaż byłyby one wielokrotnie powtarzane, że wiele ze współczesnych kobiet próbuje na siłę stać się mężczyznami, bo np. partycypują coraz częściej w środowiskach zdominowanych liczebnie przez mężczyzn. Każda osoba ma swoją swoistość, zbiór indywidualnych cech i możliwości. Istnieje pewna powtarzalność schematów osobowości jednej płci, ale tylko do pewnego stopnia zjawisko to występuje. Istnieją też osoby, które całkowicie nie mieszczą się w ramach tej powtarzalności i to one najbardziej cierpią na stereotypach, a to one zazwyczaj przez swoją wyjątkowość stanowią główny czynnik zmian, tym samym naturalnego postępu. W wiekach ubiegłych kobiety nie podejmowały się wykonywania wielu zawodów nie dlatego, że się do nich nie nadawały, lecz “tylko” dlatego, że ograniczono je społeczeństwem. Trzeba zaznaczyć jednak, że praca kobiety w domu, opiekowanie się dziećmi, nie jest czymś dla niej upokarzającym, czy świadczącym o braku ambicji. Pozostanie w domu jest jednym z wielu wyborów, które powinny stać przed każdą kobietą i podlegać jej indywidualnej ocenie. Wyprowadzając wszelkie ataki o promowanie rozdmuchanego indywidualizmu, zaznaczę, że możliwe największe dopasowanie sprawowanej funkcji, roli do posiadanych predyspozycji, najlepiej służy wspólnocie, każdy daje od siebie to, co najlepsze, nie ważne, jaką ma płęć. Założenie personalnego podejścia do każdej jednostki przynieść może wyłącznie wymierne korzyści całej społeczności i do takiego właśnie musimy dążyć.

Feminizm dziś

Wydawać by się mogło, że w czasie, w którym kobiety posiadają prawa wyborcze, dostęp do uczelni na każdym poziomie kształcenia i teoretycznie każdego zawodu, feminizm żadnej z kobiet nie jest już potrzebny, ponieważ jego główny cel został zrealizowany. Jest to mylne spostrzeżenie oparte na założeniach, że konkretne osiągnięcia są dane raz na zawsze i że ich prawne usankcjonowanie jest równoznaczne z realnym przyjęciem. Jest jeszcze o co walczyć i myśle, że nikogo nie trzeba o tym przekonywać, choć chyba z wyjątkiem niektórych konserwatysek żyjących w świecie urojeń i anachronicznych fantazji. Ostatnio osobiście spotkałam się z istniejącym w świadomości wielu problemem biologicznego stygmatyzowania, który ma ograniczać dostęp kobiet do niektórych zawodów. Jest ono spowodowane przeświadczeniami, że np. siła fizyczna nie pasuje do kobiet (nieważne czy kobieta ją posiadają, czy nie, ale nie powinna, bo nie jest to kobiece) czy, że kobieta jako osoba, która daje życie, nie może wykonywać zawodów wymagających dużej dyspozycyjności. Cięża, poród i połóg stanowią stosunkowo znikomą część życia każdej kobiety, a to one mają odbierać jej prawo do swobodnego wyboru zawodu? Powie ktoś, że macierzyństwo to nie tylko ten aspekt biologiczny i z tym się zgodzę, ważne jest również wychowanie i należy mu poświęcić znacznie więcej czasu niż biologicznej stronie przychodzenia dziecka na świat. Wychowanie nie jest jednak sprawą wyłącznie matki, ale obojga rodziców i to w równym stopniu. Stosunki rodzinne opierające się na podziale obowiązków, znaczącej roli ojca w wychowaniu dziecka, przynoszą korzyści nie tylko realizującej się dzięki temu kobiecie na tle zawodowym, ale również dziecku, któremu poprzez większy kontakt z ojcem dostarcza się prawidłowych wzorców świata dwupłciowego.

Wracając do meritum sądzę, że potrzebujemy dziś feminizmu jako części formacji intelektualnej i etycznej, a nie rzeczywistości działającej grupy, stawiającej sobie za cel wyłącznie walkę o prawa kobiet. Byłoby to kolejne zamykanie się w politycznym getcie, z którego jak pokazała historia, nie zawsze można tak łatwo i szybko wyjść. Dziś walka o równouprawnienia, prawa kobiet rozgrywa się wyłącznie w naszych umysłach i to bardziej kobiet niż mężczyzn - innych ograniczeń nie ma, więc bezcelowe byłoby tworzenie jakichś instytucji w dziedzinie, w której już nic do zrobienia nie ma. Dzisiejsze “feministki” utknęły w XX wiecznej twierdzy rzekomego postępu i walki, przez którą zatrzymały w rozwoju całą ideę czy wręcz przyczyniły się do jej upadku. Nie potrafiły one w swej większości w odpowiednim momencie przestawić się z trybu walki do normalnego życia i dlatego zaczęły wymyślać sobie coraz bardziej ekscentryczne cele, które bardzo szkodzą nie tylko ruchowi, ale każdej pojedynczej kobiecie. Wyemancypować się z emancypacji, a więc zacząć normalnie żyć, bez faktycznych ograniczeń, ale również tych urojonych, zacząć wykorzystywać swoje prawa społeczno-polityczne, zacząć żyć aktywnie, według własnych chęci i ambicji, nawet w tych dziedzinach życia, które wydają się zarezerwowane wyłącznie dla mężczyzn to naczelna zasada, którą powinniśmy dziś się kierować.

Feminizm dziś to nie walka z rodziną czy nienawiść do mężczyzn, ale pewna samoświadomość i taki feminizm jest jak najbardziej potrzebny również w szeregach nacjonalistycznych! Dlaczego? Powodów jest wiele, ale za najważniejszy należy uznać fakt, że nigdy wcześniej aż tak wiele kobiet w stosunku procentowym do mężczyzn nie było zaangażowanych w działania organizacji narodowych. Feminizm jest po prostu korzystny z perspektywy walki nacjonalistycznej. Nie możemy sobie pozwolić na bierność i słabość żadnej z naszych części, tym bardziej części, która stanowi coraz większy fragment całości. Z moich wyliczeń wynika, że średnio co najmniej co 10 osoba zaangażowana w działalność narodową jest kobietą. Nie jest to wynik zadowalający, ale pomimo wszystko znaczący. Wyłączenie z normalnej działalności co 10 osoby w imię hołdowania stereotypom może okazać się bardzo zgubne. Nie mamy aż tak dużego potencjału, aby móc zaprzepaścić predyspozycje takiej ilości osób, nie mamy aż tak dużo czasu, żeby rola niektórych ograniczała się tylko do funkcji reprezentacyjnych. Ponadto krzywdą osobistą wyrządzaną jakiegokolwiek osobie, czy to kobiecie, czy mężczyźnie, jest wyrzucanie jej na każdym kroku, nikt nie wykorzystywał w pełni swoich predyspozycji i nie rozwinięto uzdolnień bez konieczności ich użycia, dlatego stawiamy przed kobietami jak największe wymagania! Większe wymagania to większa efektywność! Najdroższym naszym społeczeństwem będzie wtedy, gdy każda składająca się na nie jednostka znacznie odczuwa potrzebę działania, aktywności i znacznie samodzielnie myśleć, weźmie sprawy w swoje ręce - zanim to jednak się dokona w społeczeństwie, potrzebna nam zmiana we własnych szeregach, dlatego trzeba wspierać postawę aktywną kobiet, a nie ich bierność i tkwienie mentalnie w przerysowanych wiekach ubiegłych. Feminizm to nie udowadnianie innym swojej wartości poprzez upodabnianie się do mężczyzny, tylko wręcz odwrotnie odnalezienie swojej siły w kobiecości, która jednak nie jest czymś jednolitym i każda z nas może ją odnaleźć na inny właściwy sobie sposób. Oczywiście dobro narodu wymaga, żeby kobiety spełniały rolę matek i żon, tak jak mężczyźni rolę ojców i mężów, ale nie sposób na tym poprzestać i swoje znaczenie tylko do tego ograniczać. Nie podzielam optymistycznego zdania autora tekstu “Wypaczenie dawnego znaczenia słowa <<feminizm>>”, jakoby współczesne konserwatystki upominały się o swoje prawa, tym bardziej, żeby znaly swoje “naturalne miejsce w społeczeństwie” - sama nie wiem, co według zamysłu autora jest tym miejscem, obawiam się, że nie miał on na myśli “barykad sprawy narodowej”. Większa część spośród dzisiejszych konserwatysek najchętniej wyrzekłaby się nie tylko wszystkich obowiązków - wygodnictwo byłoby tego jakimś usprawiedliwieniem, ale również praw, tym samym dojrzałego człowieczeństwa. Jak inaczej wytłumaczyć chęć swojej wiecznej, pełnej zależności od drugiej osoby bez żadnego osadzonego w realiach usprawiedliwienia? Kardynalnym błędem konserwatysek jest chęć narzucenia wszystkim kobietom swojego spojrzenia na świat, swoich ambicji (czy też ich braku) i priorytetów, co w praktyce objawia się wyłącznie próbą nakładania ograniczeń na inne kobiety. Najśmieszniejsze i zarazem najtragiczniejsze są dla mnie stwierdzenia, że dążenie kobiet do samorealizacji zawodowej, nawet połączone ze spełnianiem rodzinnych obowiązków, jest burzeniem świata określonych wartości. Czy naprawdę kobieta-żołnierz jest przyczyną rozprzestrzeniającej się w naszych czasach dekadencji, odchodzenia ludzi od Boga, czy zubożnienia na sprawę narodu? To, że jakieś zjawiska przebiegają mniej lub bardziej równoległe nie oznacza, że wykazują ze sobą jakąkolwiek łączność, no może z wyjątkiem czasu trwania procesu.

W kontekście napisanych przeze mnie słów, kończąc, pragnę zwrócić uwagę na wydarzenia, które miały miejsce stosunkowo nie tak dawno i odbywały się często pod narodowymi szyldami, a których przewodnią myśl brzmiała “Brońmy naszych kobiet przed imigrantami”. Jako kobieta i nacjonalistka, na takim wydarzeniu na pewno bym się nie pojawiła, ponieważ z jednej strony, w codziennym życiu potrafię sama o siebie zadbać, a jeżeli coś jest tak wielkim problemem, że nie mogę z nim poradzić sobie sama, to liczę na wsparcie innych ludzi niezależnie jednak od ich płci. Nie potrzebuje natomiast niczyjej zwierzchności ubranej w piękne hasła rodem ze średniowiecznych opowieści. Czy nie lepsze zamiast wykrzykiwania pustych, rycerskich haseł byłoby zorganizowanie zajęć z samoobrony dla kobiet? Byłyby one na pewno praktyczniejsze i w ostatecznym rozrachunku skuteczniejsze, nie tylko w kontekście fali imigrantów, ponieważ zjawisko gwałtów jest rzeczywistym problemem w naszym kraju również bez ich udziału. Zamiast kurioznej kobietom potrzeba szacunku, zamiast głaskania po głowce czy wyręczania wspania, zamiast stereotypowego traktowania równego podejścia - mam nadzieję, że coraz więcej osób zacznie to rozumieć. Jesteśmy nacjonalistkami, fakt ten sam w sobie niesie konieczność posiadania wewnętrznej siły i niezależności. Nie udawajmy słabszych niż jesteśmy tylko dlatego, że panuje jakieś mylne przeświadczenie na temat kobiecości. Kobiecość jest siłą, a my musimy zaangażować się w pełni w pracę nacjonalistyczną,

ponieważ idea tego wymaga, a także przyszłość i nasze położenie w państwie narodowym :

“Jeśli kobieta dziś nie będzie pracowała w rewolucyjnych organizacjach narodowo-radykalnych - jutro nie będzie pracowała w Organizacji Politycznej Narodu, nie będzie pracowała w Powszechnej Organizacji Wychowawczej. Nie będzie poprawy stosunków zawodowo-gospodarczych kobiet, jeśli dziś kobieta nie będzie dążyła do zmiany całego ustroju gospodarczego - drogą Przełomu”. [3]

Maria Pilarczyk

Przypisy:

<http://szturm.com.pl/index.php/miesiecznik/item/334-wypaczenie-dawnego-znaczenia-slowa-feminizm>

“ Wytyczne pracy kobiet będące wyrazem poglądów Komitetu Porozumienia Organizacji Narodowo-Radykalnych” (1938 r.), str.1

Tamże, str. 6

Temat roli kobiet w rodzinie i narodzie jest niezwykle istotny, dla wielu pewnie oczywisty, jednak współcześnie nie wszystko pozostaje takie jasne. Są ludzie, którzy twierdzą, że kobiety mają wybór: albo zajmować się rodziną, albo pójść do pracy. Sprawa jest tutaj postawiona w sposób bardzo ograniczony. Bardzo proste i według wielu słuszne podejście. Problem tkwi w tym, że zupełnie nie przystaje ono współczesnej rzeczywistości, jest „wybohem” bardzo ograniczonym i modelem praktycznie niemożliwym do wdrożenia w XXI wieku.

Zdaniem wielu konserwatystów, kobieta powinna zajmować się wyłącznie rodziną i wychowaniem dzieci. Z drugiej strony, znaczna część konserwatywnych liberalów twierdzi, że kobiety powinny mieć wybór: praca albo rodzina. Jeśli mielibyśmy spojrzeć na temat z punktu widzenia interesu narodowego, z perspektywy rzeczywistości Polaków w XXI wieku i ich problemów, to dojdziemy do wniosku, że żadne z tych podejść nie jest właściwe.

Część polskich kobiet rzeczywiście poświęca się wyłącznie rodzinie, inne za to poświęcają się tylko karierze. Ale faktem jest, iż największą część stanowią te przedstawicielki płci pięknej, które zarówno pracują, jak i posiadają dzieci. Nie jest to nic nadzwyczajnego, a tym bardziej nic złego. Faktem, którego podważać nie można jest istnienie znacznej grupy kobiet nastawionych wyłącznie na karierę, kobiet realizujących się wyłącznie na płaszczyźnie zawodowej, które nie planują zakładać rodziny. To zjawisko jest typowym przykładem indywidualistycznego i materialistycznego podejścia do życia. Tutaj należy pokazać alternatywę, pokazywać inne wzorce i promować wspólnotowy model budowania rzeczywistości, jako drogi pracy dla narodu siebie samych. Koniecznym jest znalezienie alternatywy dla typowego indywidualistycznego punktu widzenia, gdyż obecnie to właśnie indywidualizm bierze górę nad wspólnotowością i nie ma powodu, aby w tej pracy miały nie brać udziału kobiety.

Jednak stricte konserwatywne podejście, według którego miejsce kobiety jest wyłącznie w domu nie znajduje racji bytu w XXI wieku, a nawet jestem skłonny stwierdzić, że dążenie do takiego modelu nie byłoby korzystne w zasadzie dla nikogo. Czas pokazał, że wiele kobiet świetnie odnalazło się w rolach przywódczych, w rolach społecznych, a nawet sportowych oraz organizacjach o różnym charakterze. Niekoniecznie musi oznaczać to przekreślenie ich naturalnej roli matek.

Przy tym temacie dotknę również nieco kontrowersyjnej kwestii związanej z prawami pracowniczymi przyszłych matek. Chcąc odbudować pozycję rodzin w Polsce nie można pomijać tematu urlopów macierzyńskich oraz zasiłków macierzyńskich. W obliczu kryzysu demograficznego oczywistymi są działania mające na celu poprawę sytuacji ekonomicznej polskich rodzin, z tego punktu widzenia likwidacja tych praw byłaby zdecydowanie bezsensowna, a nawet groźna społecznie. W rzeczywistości XXI wieku, konserwatywno – liberalne założenia, według których przyszła matka, idąc do pracy miałaby się liczyć z groźbą jej pewnej utraty i nie mogąc oczekiwać państwowego wsparcia na okoliczność ciąży, to coś, co należy zdecydowanie skrytykować. Takiego podejścia nie możemy już nawet nazwać konserwatyzmem, ale raczej utopijnym dążeniem do powrotu bardzo starych zasad, które dziś nie mają racji bytu. Współczesne państwo, chcąc odbudować wartości rodzinne oraz pozycję społeczną rodzin, musi chronić kobiety zatrudnione w okresie ciąży, ale także zapewnić im prawo do powrotu do pracy po odchowaniu dziecka.

Kobiety, a szczególnie polskie kobiety, wielokrotnie udowadniały swoją siłę i talenty. Udowodniły również, że są w stanie godzić wiele funkcji społecznych, nie uchybiając niczemu. Historia zna wiele przykładów przedstawicielek płci pięknej, które były bardzo zaangażowane w walkę dla ojczyzny, które również udzielały się w innych dziedzinach, a jednocześnie były zdolne do pełnienia ról matki i żony. Dlaczego mielibyśmy pozbawić naród tak wielu możliwości? Powinniśmy patrzeć szerzej.

Upadek młodzieży – powolna śmierć Europy?

Podczas wymiany kilku kul z jego załogą jeden z ludzi padł na ziemię jakby powalony niewidzialną pięścią. Pocisk przewiercił czubek stalowego helmu i wyrył długą bruzdę w czaszce. Mózg podnosił się i opadał w ranie w rytm pulsowania krwi, mimo to żołnierz był w stanie iść o własnych siłach. Musiałem mu jeszcze wydać rozkaz, aby pozostawił tornister, i zaklinałem go, by szedł bardzo wolno i ostrożnie.

To są słowa Ernsta Jüngera, pochodzą one z jego wspomnień z walk na froncie zachodnim I wojny światowej pt. In Stahlgewittern (z niem. W stalowych burzach – przekład z 1999 roku autorstwa Wojciecha Kunickiego). Wykazał w tym dziele swoje umiejętności literackie, odmalowując obraz Wielkiej Wojny jako czegoś ponadmaterialnego, czegoś, co zmieniło na zawsze jego pokolenie Niemców, którzy walczyli w okopach Sommy, Marny, Guillemont, Verdun i innych miejscach krwawych walk pozycyjnych. Oprócz wspomnień i odczuć niemieckiego oficera zawiera również opisy życia okopowego, krajobrazu różnych miejscowości, rutyny walk oraz powolnej mechanizacji nowoczesnej wojny, jaka nastąpiła w XX wieku. Książka ta doczekała się łącznie od 7 do 8 wydań, o zmienianej przez autora treści, różnie interpretowanej, w tym dwóch przekładów na język polski (pierwszego dokonał ppłk Janusz Gaładyk w 1935 roku, tytułując go Księżę Piechoty. W nawalnicy żelaza, drugiego – wspomniany wyżej prof. Kunicki w 1999 roku).

Dlaczego nawiązalem do pierwszej połowy XX wieku? Ponieważ w porównaniu z tamtymi czasami dzisiaj następuje poważny upadek młodzieży na każdej płaszczyźnie. Nie chcę tu oczywiście być sentymentalistą, czy opiewać ideowy, religijny i polityczny aktywizm młodzieży z czasów międzywojnia, które są bardzo wartościujące dla nas i są wartym uwagi punktem odniesienia do dzisiejszej walki. Legion św. Michała Archanioła, Falanga Hiszpańska, Obóz Narodowo – Radykalny, belgijski Christus Rex, niemiecka Rewolucja Konserwatywna i mógłbym dalej wymieniać poszczególne przykłady, ale nie na to powinno być miejsce w niniejszym maszynopisie. Tu z kolei postaram się odpowiedzieć na pytania, które nurtują mnie od bardzo długiego czasu. Czy degeneracja młodzieży w XXI wieku jest niczym innym, jak zapowiedzią nadchodzącej śmierci następných pokoleń młodych Europejczyków? Dlaczego młodzież niechętnie przyjmuje niektóre wzorce, mogące stanowić bardzo dobre wzory do naśladowania, w celu zrzucenia z siebie kajdan przywiązania do jakichkolwiek nałogów?

Dzisiaj świat wchodzi w erę globalizacji, a wraz z nią jej skutki uboczne – unifikacja i amerykanizacja kultury kosztem odrębności narodowych, kulturowych i religijnych, niszczenie podstawowych więzi społecznych na rzecz pośpiechu za sukcesem, karierą czy łatwym pieniądzem, rozwój i promowanie kosmopolityzmu zamiast naszych tradycji, historii i kultur. Równoległe spychane są na plan dalszy duchowe sfery życia, ich sens jest traktowany jedynie jako zło konieczne, coś w rodzaju wymuszonej lub ogólnie przyjętej tradycji. W tym ciągłym pędzie młodzież zapomina o swoich korzeniach, wierze, odrzuca od siebie wszystko to, co mogłoby służyć dobru drugiego człowieka lub je niweluje. Kupowanie, konsumowanie, praca i egzystencja we własnych czterech ścianach prowadzą do nikąd. Bardzo dobrymi przejawami tego, jak konsumpcjonizm wżarł się w mentalność naszego narodu, są jarmarki, przenośne targi i bazyry ustawiane w Wielkanoc, Boże Narodzenie, Wszystkich Świętych czy zapusty oraz czekoladowe mikolaje/zajaczki, jajka na ladach od sklepów po będące pod wpływem obcego kapitału supermarkety. Sam widziałem, zwłaszcza na Wszystkich Świętych, jak rodziny z dziećmi przychodziły na cmentarz dla tradycji, a później kupowali precele, waty cukrowe i inne niezdrowe przekąski, i mnie krew zalewała. Nie mówiąc już o totalnym gadulstwie letnich katolików w ten dzień na poświęconej ziemi, zakłócającym skupienie się na modlitwie i oddaniu hołdu zmarłym bliskim, krewnym, tym, którzy mają jedynie symboliczne mogiły oraz naszym lokalnym bohaterom. Bez komentarza również zostawię grożące naszej duchowości i tożsamości kulturowej niewinne „cukierki albo psikusy” w „halolin”.

Innym przykładem są Święta Bożego Narodzenia. Nie tylko na targach, wystawach i ladach figuruje to czekoladowe barachło, które najchętniej by zniszczyć. Na wieczernych wigilijnych (rzecz jasna, zgodnie z przyjętą tradycją) raz po raz pojawia się alkohol. Tu dochodzimy do jednego z najcięższych nałogów, jakie prowadzą do degeneracji młodzieży, a które to przykłady dosyć często przychodzą z góry. Niestety, nie tylko na posiłkach wigilijnych zakrapia się je flaszka, potem druga, a potem ew. bo za mało, to jeszcze do sklepu. Niejeden raz obserwowałem żaloszny obyczaj wyjścia grup młodych ludzi z alkoholem na plenerowe picie o północy z 24 na 25 grudnia, nazwany – o zgrozo – pasterką. Że tak zapytam, co wspólnego z rozważaniem tajemnicy narodzin Jezusa Chrystusa ma łojenie wody, bimbrowa, piwa i innych szkodliwych trunków, które z pozoru są bezpieczne, ale to z tego powodu rośnie bezmiar patologii społecznych, udawania kim to się nie jest i rozbijania więzi rodzinnych poprzez wyłudzenie pieniędzy na alkohol. Nie będę przytaczał tu statystyk, bo można je znaleźć w Internecie, nie mówiąc o ekstremalnych przypadkach, jakie mają miejsce w Rosji (a na które to problemy jedną z odpowiedzi jest sportowy tryb życia, straight edge i dbałość o zdrowie – krzewione przez rosyjskich nacjonalistów).

Ostatnio na portalu narodowo – radykalnym Kierunki, na którego łamach również pisuję swoje refleksje i myśli, ujrzał światło dzienne tekst naszego naczelnego, Krzysztofa Kubackiego, zatytułowany Europa potrzebuje kultu siły! Podpisuję się pod nim obiema rękami, ponieważ to w barkach młodzieży spoczywa i powinna spoczywać przyszłość Europy. Im silniejsi są nasi wrogowie, tym mocniejsza powinna być nasza walka przeciw całemu współczesnemu światu, walka o uratowanie zdrowej tkanki narodowej, by ta nie ulegała żadnym wpajaniom nam przez demoliberalizm paradygmatom. Paradygmatom prowadzącym na manowce i oddalającym nas od tego, co dobre, na rzecz Zła, i ostatecznie zadającym nam najgorszą z śmierci, jaką jest śmierć duchowa.

Tę myśl, pisaną wieczorem, zakończę słowami Leona Degrelle z Apelu do młodych Europejczyków: Młodzi europejscy koledzy – nadeszła wasza kolej. Materialnie, to jasne, ale przede wszystkim duchowo i intelektualnie bądźcie gotowi na wszelkie ofiary. Niech wasze mózgi będą doskonale wyćwiczone i zbudowane, ciało silne i gotowe na najtrudniejsze walki, dusza rozjaśniająca wasze idee. Wtedy, choćby bój był zacięty, wasze silne ramiona podniosą na tarczach zwycięstwo, w które wzdątpili słabeusze. Tylko ci mają wiarę wracając i stawiając czoła przeznaczeniu! Wiercie! Walczcie! Świat się traci lub zdobywa. Zdobądźcie go! Na ludzkiej pustyni, gdzie beczy tyle baranów bądźcie lwami! Silni i nieustraszeni jak one. Niechaj Bóg wam dopomoże! Czolem, koledzy!

Adam Busse

Nie będę opisywać w swoim tekście kolejnych historycznych faktów, o których większość z nas zdaje sobie sprawę, poza tym warto przyrzeć się współczesności, na którą możemy mieć wpływ. To do nas, nacjonalistów, należy kreowanie świata, a nie tylko odwoływanie się do epok minionych. Warto brać pod uwagę spuściznę naszych przodków, ale tylko po to, aby wiedzieć, co jest dla nas konieczne do zrobienia, a czego musimy unikać.

Podobnie sytuacja wygląda w przypadku relacji nacjonalizmu z Kościołem Katolickim. Uważam, że zdecydowanie za mało jest debaty publicznej w tej kategorii. Tym bardziej, że bardzo często pojęcia te nie idą w parze. Zapominamy o podstawowym charakterze polskiego nacjonalizmu, który jest ściśle związany z katolicyzmem.

Większość organizacji narodowych odwołuje się do cywilizacji łacińskiej, biorąc naukę Kościoła za swój ideowy wyznacznik. Na marszach i pozostałych akcjach krzyczymy o Wielkiej Polsce Katolickiej, a hasło Bóg Honor i Ojczyzna jest już na trwałe wpisane w nasz ruch.

Nie wliczając kilku podmiotów narodowych, którym chrześcijaństwo jest obce, możemy stwierdzić, iż nie mamy problemu z określeniem swojej wiary i naszego podejścia do życia religijnego. Niestety, jak pokazały ostatnie wydarzenia, problem pojawia się z drugiej strony. Do tej pory nie mogę zrozumieć, dlaczego białostocka kuria przeprosza za zachowanie mojej organizacji podczas mszy rocznicowej. Byłam na tym wydarzeniu, obserwowałam swoje Koleżanki i Kolegów, wysłuchałam kazania Ks. Jacka i myślę, że każdy, kto był obecny na tej Mszy zgodzi się ze mną, że to zwykły medialny cyrk. Cyrk, którego zadaniem jest podzielenie katolików i przedstawienie idei narodowej jako tworu antykatolickiego.

Nagle złą sytuacją katolicyzmu w Polsce zmartwiona jest Gazeta Wyborcza i TVN, publikując coraz głupsze tezy o brunatnym ONR z Ks. Jackiem na czele, który rzekomo niszczy chrześcijańską jedność. Nie byłoby w tym nic dziwnego ani strasznego, że ponownie plują na nas te same lewicowe mordy, rozczarowuje niestety postawa wielu przedstawicieli Kościoła i podmiotów z nim związanych. Jak można odcinać się od środowiska, które jako pierwsze i pewnie jedyne pójdzie zawsze za swoją wiarą i za swoją Ojczyznę? Które nigdy nie złoży broni i będzie czuć gotowe do walki?

Wreszcie zobaczymy, co dzieje się wewnątrz Kościoła, nagonka na Ks. Jacka Międlara, która jest niestety podsycana również przez wielu duchownych. Nie podoba im się postawa Kościoła walczącego. Miałam okazję wysłuchać różnych kazań Księdza, ale również porozmawiać w mniejszym gronie osób, jestem przekonana, że prędzej czy później wielu z tych którzy teraz go atakują, zrozumieją, że tacy jak on są dumą Kościoła. To właśnie oni będą na straży tej wiary i dzięki nim jestem spokojna o dalsze losy Polski i Polaków. Widzę sporo analogii między Księdzem a ONR-em, tak samo boją się naszej duchowej siły i bezkompromisowości. Jesteśmy zagrożeniem, ponieważ nie boimy się mówić prawdy i nie da się nam zamknąć ust, my nie będziemy przysłowiowo tańczyć, jak nam zagrają. Nie pozbędą się nas, a nie przekupią, dlatego chcą nas zniszczyć. Będą walczyć najsilniejszym narzędziem, jakie mają- mediami. To one wpływają na świadomość społeczną i chcą manipulować Polakami, idealnie widać to obecnie. ONR jest teraz opisany wszędzie, gdzie nie popatrzę albo o nas piszą albo mówią. Oczywiście, w jaki sposób to można się domyślić. Próbują nas zniszczyć i wykorzystują do tego naszego sprzymierzeńca, jakim jest i powinien być Kościół Katolicki.

Różne epitety cisną się na usta, kiedy słyszę, że gdzieś odmawiana jest msza w intencji Księdza Jacka. Widać, że współczesny Kościół jest przesiąknięty wrogami wiary i polskości, jest słaby i wypełniony lękiem. Ważny jest dobry wizerunek i liberalne podejście do życia. Można by powiedzieć, że dla takich jak my nie ma tu miejsca. Tylko, że właśnie naszym obowiązkiem jest odzyskanie społeczeństwa i Kościoła, odrzucenie tych złych nawyków i wzorów. Tak jak ONR działa od podstaw w polskim narodzie, tak odważni kapłani jak Ks. Jacek będą odzyskiwać Kościół. Razem sobie poradzimy, wspólnie będziemy się wspierać i wygramy w tej walce. Nie jest moim zamiarem atakowanie kogokolwiek personalnie ani całościowo instytucji kościelnych. Wiem, że w tym momencie musimy pokazywać pozytywne i negatywne postawy, aby w przyszłości odrodziło się to, o co walczymy- Wielki Kościół i Wielka Polska, które ramię w ramię stworzą Wielki Naród.

CWP!

Adrianna Gąsiorek

W pułapce historyzmu

Polscy nacjonałiści cierpią na dziwną chorobę – cały czas żyjemy historią i myślimy jedynie o niej, zapominając o dzisiaj, nie chcąc myśleć o jutrze. Smutno mi to mówić, ale wielu narodowców brak jakiegokolwiek wizji działalności maskuje ciągłym paleniem zniczy i antykomunistycznymi manifestacjami.

Nadmierne zainteresowanie historią jest jednym z powodów dla których mało kto chce nas poważnie traktować. Przeciętny mieszkaniec dorzecza Wisły i Warty ma o wiele poważniejsze problemy niż nazwy ulic i walka z komuną 27 lat po okrągłym stole. Myślenie jedynie o historii sprawia, że brakuje czasu na poznanie realnych problemów Polaków i działalność dla miasta.

Kolejnym problemem jest brak jakiegokolwiek rozwoju myśli narodowej po II Wojnie Światowej, cały czas istnieje tylko klasyka czyli Dmowski, Mosdorf, Doboszyński, Piasecki i im współcześni, co powoduje brak zrozumienia współczesnego świata, częste stwierdzenia, że z jakimś środowiskiem się nie dogadamy bo przecież odwołują się do tradycji z którą endecja walczyła... Pośrednio skutkiem tego jest szukanie odpowiedzi na współczesne problemy u obcego, a wręcz wrogiego nacjonalizmowi guru w muszce.

Oczywiście tylko idiota może twierdzić, że budowanie świadomości historycznej narodu jest zbędne, ale „znaj proporcjum mocium panie”! Ruch nacjonalistyczny nie może być skansenem i kółkiem historycznym tylko siłą mającą zmienić ten kraj. Często jedynym pomysłem na działalność lokalną jest zmiana nazwy kilku ulic, narodowców nie interesuje komunikacja miejska, liczba miejsc w żłobkach i przedszkolach, budżet obywatelski... Historia jest ważna i tego nie neguję, ale Polska nie skończyła się na Żołnierzach Wyklętych.

Największym sukcesem naszego środowiska po 89 roku jest stworzenie mody na patriotyzm (często złośliwie nazywanej gimbopatriotyzmem), która nie byłaby możliwa bez dwóch czynników – Marszu Niepodległości i rodzącego się po 2010 kultu Żołnierzy Wyklętych. Zainteresowanie historią miało tutaj bardzo dobre skutki, brak umiejętności wykorzystania tej mody i przekucia jej na coś trwałego i dojrzałego to już zupełnie inna kwestia.

Historia, zwłaszcza lokalna jest doskonałą nauczycielką patriotyzmu, dla dziecka wychowanego na Jeźycach czy Ratajach bohaterowie Powstania czy Czerwca są kimś bliskim, a wydarzenia rozgrywające się w znanej okolicy ciekawe. Organizując w okolicach 27 grudnia i 28 czerwca turnieje piłki nożnej czy konkursy plastyczne, muzyczne dla dzieci możemy bardzo skutecznie nauczyć je patriotyzmu, jednocześnie zarażając miłością do sportu i proponując wartościowe formy spędzania czasu.

Żyjmy dla przyszłości! Historię traktujmy jako element naszego dziedzictwa, ważny w budowaniu świadomości narodowej Polaków, zwłaszcza dzieci, ale nie róbmy z niej nigdy sensu życia i naszej działalności!

Tomasz Dryjański

Konkretów, a nie dyskusji!

„Dyskusja. Potrzeba dyskusji”! Te słowa przewijają się od lat, czy to na „DL” lata temu, czy w „Szturmie”, czy ostatnio na portalu antykapitalizm.pl. Tymczasem problemem nie jest brak dyskusji, ale brak człowieka/organizacji, która powie „biorę to na siebie” i zacznie działać. Działać, a więc budować program antykapitalistyczny, w którym wszystko, albo prawie wszystko jest jasne. Jeśli tego nie ma – przynajmniej, że tego po prostu nie umiemy, nie rozumiemy.

Jedni już próbują – jest to NOP (nie należę do tej partii), ale w jego przypadku pojawia się inny problem – lider, do którego osobiście nic nie mam, oskarżony jest (na głos) o „brak współpracy/perspektyw rozwoju”. Nie chcę tutaj tego rozstrzygać – to nie miejsce, ale fakty są takie, że po pierwsze musi być pomysł, po drugie otwartość na dialog ze środowiskiem. Aczkolwiek rozważanie korporacjonizmu i plan na papierze jest czymś, co wzbudza moją sympatię dla NOPu. To zawsze krok przed „potrzeba dyskusji”. „Tylko” jeszcze trzeba działać, rozwijać się, coś z tym papierem robić.

Sama dyskusja nie wystarczy, ludzie dzisiaj trzydziestoletni mają poważniejsze rzeczy do roboty niż ciągle dyskutowanie (brutalne, ale prawdziwe), tym bardziej, że dyskutują... od piętnastego roku życia. Czy naprawdę „nie ma dyskusji”? Oczywiście, że jest... chociażby na tych wszystkich facebookach. Czy ludzie będą jeździli kilometry na spotkania, mając na uwadze doświadczenia, że nie z takich spotkań nie wynikało? Wątpię. Nie raz byliśmy gdzieś jako tako zebrani i z konkretów wychodziły nici.

W polskim nacjonalizmie nie brakuje dyskusji – brakuje osób, które mają świeży zapach i chwycą to wszystko konkretnie za szmaty. Konkretnie, a więc „ma być tak i tak, jeśli się nie zgadzacie – podajcie argumenty, jeśli nie, oto jest nasz program i tyle”. Grunt by osoba nie była w środowisku, w swoim mieście całkowicie anonimowa, by można było ją przeświecić jeśli chodzi o aktywizm. By cechował ją młodzieńczy zapach, który powolutku ulatuje u naszego pokolenia „około trzydziści”. By nie był to oszołom w rodzaju „lidera” Narodowej Wolnej Polski.

To wszystko może być trudne ze względu na polską mentalność, która nie pozwala nam – mimo potencjału liczbowego i bojowego, stworzyć sensownego, antysystemowego nacjonalizmu na miarę dorosłego człowieka, a nie zbuntowanego nastolatka. Mamy też tak, że wielu trzydziestolatków nadal tkwi w emocjonalnym gimnazjum. Wielu Polaków, jak na romantyków przystało, chodzi swoimi ścieżkami – wiem coś o tym, bo... sam taki jestem. Nadmiar takich jak ja mądrali również stanowi problem.

Jestem jedną z osób, która miała okazję kimać na CasaPound w Rzymie i tak jak wszyscy, jestem pod wrażeniem tego jak Włosi się dogadali. Tam nikt się nie kłóci, nie widać, by mieli do siebie jakiś problem, siedzą na tarasie i dyskutują o faszyzmie, a co ważniejsze widać plony tej dyskusji – akcje, nieoficjalne, czy oficjalne (partia). Jeśli coś złego dzieje się wewnątrz, nie czuć tego..., ani śledząc ich relacje (a to właśnie robię), ani przebywając na ich squacie. Nie dyskusja – konkrety. Reguły działania, których wszyscy potrafią się trzymać (Polacy właśnie tego nie potrafią?). Nie działasz? To spadaj, nie ma w CP dla ciebie miejsca! Ale, w przeciwieństwie do Polski, znalazło się wielu konkretnych ludzi na poziomie, którzy chcą trzymać się tych zasad.

Kwestia mentalności – do tego wniosku doszedłem i, przepraszam, ale wątpię w sukces na naszych ziemiach, przynajmniej w tym pokoleniu. Może kiedyś... dlatego warto o tym mówić i mimo wszystko działać. Wspierać tych, którzy biorą się do roboty. Dyskusja? Sprezycujcie, bo dzisiaj każdy z każdym dyskutuje.

Łukasz Grower

Dzisiejszy świat który znamy, a który ukształtował się w Europie i szerzej na całym świecie po II wojnie światowej, (z przetasowaniem systemów politycznych i ekonomicznych we wschodniej części Starego Kontynentu po 1989 r.) powoli odchodzi do lamusa. Wzrost zagrożenia terrorystycznego, objawiającego się w postaci zamachów w Paryżu i Brukseli, natężenie się ekstremizmu islamskiego, który ukazuje swoje zbrodnicze oblicze w wojnie w Syrii i w środowiskach muzułmańskich imigrantów w zachodniej Europie, wojna w Donbasie i neo – imperialne zapędy Kremla dążącego do odbudowy swojej strefy wpływów w Europie Wschodniej, a także coraz silniejsze tarcia pomiędzy rozpadającymi się gospodarczo Chinami a USA i jego azjatyckimi sojusznikami sprawiają, że i my przestajemy się czuć całkowicie bezpiecznie, mimo że większość tych zagadnień (poza Ukrainą) Polaków i Polskę nie dotyka bezpośrednio. Nie znaczy to jednak że problemy geopolityczne całego świata będą nas zawsze omijać. Jestem nacjonalistycznym pacyfistą, jakkolwiek to dziwne nie brzmi – uważam (jak zapewne większość rozsądnych nacjonalistów i w ogóle ludzi w Polsce) że ze względu na nasze położenie geopolityczne między Wschodem a Zachodem, tragiczne doświadczenia z lat 1939 – 1945, a także fakt, iż wojna sama w sobie jest czymś katastrofalnym i traumatycznym dla każdego narodu i człowieka doświadczeniem, niosącym śmierć, utratę majątku całego życia, a często i najbliższych wraz z towarzyszącym jej często upadkiem wszelkich zasad i wartości, należy jakichkolwiek konfliktów zbrojnych (obojętnie w jakiej formie) dla dobra naszego narodu a także własnego unikać w miarę swoich możliwości.

Nie oznacza to jednak że mamy wyrzec się całkowicie osobistego i społecznego prawa do obrony życia i swoich wartości w imię zła pojętego prawa do istnienia w pokoju i zgodzie, w imię jakiegoś wymaganego braterstwa i miłości rodem z piosenki Johna Lennona pt. Imagine, gdyż ono po prostu nie istnieje. Przeciwnie, my jako naród, a szczególnie my, polscy nacjonałści powinniśmy przyjąć do wiadomości że wszystkie konflikty zbrojne tego świata mogą niegdyś zapukać do naszych bram i drzwi, znajdując swoje odbicie nad Wisłą i Odrą. Dlatego naszym obowiązkiem, ku dobra własnego narodu i przyszłych pokoleń należy się jak najlepiej militarnie i psychologicznie przygotować do przyszłych konfliktów, które w naszej części Europy mogą się kiedyś zdarzyć. Tylko jak jest w rzeczywistości, jaki jest stan naszych przygotowań i umiejętności wojskowych, zwłaszcza wśród nacjonalistów? Czy jesteśmy wystarczająco przygotowani na taką ewentualność? Czy może powinniśmy brać od kogoś przykład albo czerpać z ich doświadczeń? Dlatego w swoim artykule przedstawię parę przykładów państw głównie frontowych oraz organizacji nacjonalistycznych, które dzięki powszechnej militaryzacji swojego narodu/członków potrafią skutecznie bronić własnych państw bądź też odstraszać potencjalnych agresorów. Izrael – kontrowersyjny, acz znakomity przykład tego, że dbałość o wyszkolenie żołnierzy, nowoczesny sprzęt, morale, a także wcielania w życie idei militaryzacji narodu przynosi skuteczne efekty. Mimo że zdecydowana większość z nacjonalistów w Polsce i Europie ma co najmniej bardzo krytyczny (często jakże słuszny) stosunek do kraju położonego na Bliskim Wschodzie, to nie można jednak odmówić państwu żydowskiemu doskonałego przygotowania militarnego, systemu dowodzenia i możliwości szybkiego poboru, co umożliwia elitom politycznym i wojennym w Tel – Aviwie błyskawiczne reagowanie na ruchy wojsk lub ataki okolicznych sąsiadów typu Egipt, Jordania czy niegdyś Syria i Irak, jak również palestyńskich organizacji narodowowyzwoleńczych jak Islamski Dżihad, Fatah, LWFP lub OWP, co w kontekście geopolitycznego położenia państwa syjonistycznego jest dla niego dosłownie kwestią życia lub śmierci. Należy podkreślić fakt, że terytorium sojusznika USA na Bliskim Wschodzie to zaledwie 22 072 km2 (czyli tyle, ile wynosi w przybliżeniu powierzchnia województwa łódzkiego) a na blisko 8,5 miliona ludności prawie 20 % z tej liczby (około 1,7 – 1,8 miliona osób) to przedstawiciele mniejszości narodowych i religijnych, takich jak muzułmańscy Arabowie, Druzowie, arabscy chrześcijanie itp, co wymaga szczególnej koordynacji wszystkich szczebli dowodzenia.

Israeli Defence Force (Siły Obronne Izraela, po hebrajsku Cawa HaHagana LeYisrael) są powołane i zorganizowane na mocy Ustawy o Służbie Obronnej z 1949 roku. Naczelną maksymą wyznaczającą sposób działania CaHaL jest pierwsze zdanie zawierane niezmienne od 1948 roku we wszystkich dokumentach dotyczących strategii obronnej państwa, brzmiące następująco: Izrael nie może sobie pozwolić na przegranie wojny.

Służba w wojsku jest podzielona na dwa rodzaje: zasadniczą (Sherut Kevah) i rezerwową (Sherut Muim). Istnieje rzecz jasna w takiej sytuacji obowiązkowy pobór – objęty nim jest w ramach Sherut Kevah każdy Żyd i Żydówka, pomiędzy 18 a 26 rokiem życia, w tym i emigranci żydowscy przybywający do Izraela w ramach programu aliji, tj. powrotu Żydów do Palestyny przy czym dotyczy to głównie mężczyzn. Mężczyźni służą 2,5 roku, kobiety zaś niecałe 2 lata, a dokładnie 21 miesięcy. W przypadku kobiet pobór ich nie obejmuje jeśli przedstawicielka płci żeńskiej jest w związku małżeńskim, należy do ortodoksyjnej części społeczeństwa (mówiąc obrazowo, jest chasydaką), jest w ciąży lub posiada dzieci. Obowiązkiem powszechnej służby wojskowej nie są objęci (z przyczyn politycznych i strategicznych) ortodoksi żydowscy, arabscy chrześcijanie i muzułmanie (chyba że jako ochotnicy), wyjątkiem są ze względu na swoją odmienną wyznaniową wobec muzułmanów (uwzględniających ich za kafirów w obrębie świata islamu) i lojalność wobec Izraela Druzowie.

Rok przed powołaniem w kamazie każdy siedemnastolatek/- tka w kraju jest poddawany/ - a obowiązkowym badaniom w lekarskich komisjach wojskowych, które w kilkudziesięciopunktowej skali oceniają przydatność przyszłego kandydata do armii. Po ukończeniu poboru, przeszkolony rekrut przechodzi do rezerwy – Sherut Muim, w której mężczyźni są do ukończenia 51 roku życia, kobiety – do 40 roku życia, którzy co roku odbywają miesięczne ćwiczenia. Wszystkie rodzaje sił zbrojnych (lądowe, powietrzne, morskie i specjalne) są dowodzone przez jeden sztab główny wraz z jego szefem, wyznaczanym na to stanowisko przez rząd na wniosek premiera i ministra obrony, będącego przynajmniej w randze generała pułkownika, co zapobiega ewentualnym konfliktom i patom sytuacyjnym wewnątrz najwyższego dowództwa IDF. Wszystko to pozwala na utrzymanie prawie 180 tys. armii zawodowej i blisko półmilionowych rezerw, a w razie konfliktu armia jest rozbudowywana w ramach mobilizacji do 630 tysięcy żołnierzy co stanowi łącznie 10 procent żydowskiej ludności Izraela i jest jednym z najwyższych wskaźników mobilizacyjnych na świecie zorganizowanych w 16 pięciobogadowych dywizji. Należy dodać, że budżet militarny wynosi rocznie 12 miliardów dolarów (16 miejsc na świecie, przy czym gros tych środków to dotacje w sprzeczcie i gotówce uzyskiwane od waszyngtońskiego sojusznika dzięki działaniom lobbingsowym wpływowej diaspory żydowskiej w Stanach).

Armia izraelska posiada bardzo rozbudowany i dość nowoczesny sprzęt operacyjny – ok. 3700 czołgów (z czego część to słynne czołgi typu Merkava), 10 tys. transporterów opancerzonych oraz prawie 1200 jednostek i sztuk artylerii stałej, mobilnej, przeciwpancernej i mobilnej (w tym wyrzutnie rakiet). Ponadto jest ona uzbrojona w 324 samoloty F – 15, F – 16, F – 35, 103 helikoptery bojowe i 180 transportowych zorganizowanych w 33 eskadry lotnicze. Oprócz tego posiada własne bezzałogowe samoloty bojowe Eitan, system przeciwrakietowy Patriot i budują własną tarczę antyrakietową o nazwie Żelazna Kopuła. Jeśli idzie o marynarke to mimo małej liczebności jest wyposażona w nowoczesne korwety i pochodzące z Niemiec okręty podwodne Delfin. Poza tym Izrael posiada własną broń atomową, stanowiącą kluczowy element strategii odstraszenia potencjalnych przeciwników.

Warto nadmienić że w izraelskim wojsku duży nacisk kładzie się formowanie rekrutów w ideologii syjonizmu i kształceniu gotowości postaw poświęcenia za kraj, jak również na relacje interpersonalne – dowództwo IDF stara się o wpajanie poborowym postaw równoprawienia pod względem płciowym, społecznym i ekonomicznym, a także dumy z żydowskości i potęgi własnego państwa (koncepcja nowego Żyda, który będzie umiał obronić siebie i swój naród przed ponownym Holocaustem), które nieustannie musi być podtrzymywane. Efekt? Izrael, który w ciągu prawie 70 lat istnienia brał udział w 8 konfliktach zbrojnych (sześć wojen i dwie intyfady palestyńskie), z których zwyciężył w sześciu (poza wojną w Libanie w 1982 roku, gdzie IDF zostało zmuszone się wycofać i ostatnim konfliktem z Hezbollahem dekadę temu, kiedy to dowództwo armii podjęło decyzję o zaprzestaniu wymiany ciosów z Partią Boga wskutek jej determinacji i skuteczności w ostrzeliwaniu miast izraelskich).

W wyniku tego państwo izraelskie powiększyło dwukrotnie obszar o wzgórz Golan, Zachodni Brzeg i wschodnią Jerozolimę, co jest ewidentnym dowodem na to, że nowoczesna armia, rozbudowany system szybkiego poboru i wdrożenie powszechnej idei militaryzacji społeczeństwa pozwala na skuteczną obronę państwa i ochronę biologiczną narodu, jak również na wysoki stopień obeznanego z bronią obywatela, mimo często sprzecznych z prawem międzynarodowym działań na arenie światowej. Innym przykładem państwa, gdzie umiejętnie łączy się idee nowoczesnej armii, wyszkolonego militarnie narodu i dużych możliwości operacyjnych jest Finlandia. Uwarunkowane jest to przede wszystkim podobnym jak w przypadku Polski położeniem geopolitycznym, tj. między blokiem państw zachodnich a Rosją, a także doświadczeniami historycznymi – licznymi konfliktami i starciami z Moskwą

w przeszłości, od wojny domowej z komunistami (wspieranymi przez siły bolszewików z Rosji Sowieckiej) w czasie uzyskiwania niepodległości w 1917 roku, wojną zimową z lat 1939 – 1940 ze ZSRS (w wyniku której Finowie utracili część Karelii z Wybörgiem, po fińsku Viipuri), następnie w ramach wojny kontynuacyjnej w latach 1941 – 44 wspólnie z hitlerowskimi Niemcami, przeciw której Finlandia następnie walczyła (tym razem razem i w ramię z Sowietami) od X 1944 do końca II wojny światowej w tzw. wojnie lapońskiej. Wpływ na kształtowanie się doktryny obronnej Suomi ma także przynajmniej po II wojnie światowej neutralistyczna polityka zagraniczna, której zasadniczym celem było i jest utrzymywanie dobrych stosunków ze swoim groźnym sąsiadem, najpierw Związkiem Sowieckim a obecnie Federacją Rosyjską,

z którą Finlandia ma najdłuższą, bezpośrednią granicę, zapoczątkowaną przez pierwszego powojennego prezydenta Finlandii, Juho Paasikiviego. Zakłada ona także unikanie zadrążeń z pozostałymi sąsiadami i trzymanie się zasady nie uczestniczenia w jakichkolwiek blokach lub aliansach militarnych (Finlandia jest oprócz Norwegii jedynym krajem regionu nie będącym członkiem NATO), jak też podejmowanie szeroko zakrojonej współpracy wojskowej z innymi państwami skandynawskimi, głównie Szwecją, w zakresie współdziałania sił operacyjnych i modernizacji przemysłu zbrojeniowego.

Finlandia, ze względu na dość duży i specyficzny obszar swojego państwa (jest to kraj leśisty, poprzecinany jeziorami, w większości niziny, z klimatem umiarkowanie chłodnym, czyli przyjemnym i temperaturowo wiosną i latem i ostrymi jesienią i zimą), a dość małą liczbę ludności i posiadanie potężnego, odbudowującego i modernizującego swe siły zbrojne rosyjskiego sąsiada z jednej strony, a ostatnimi czasy przeżywającej spore problemy wewnętrzne na tle imigracyjnym i etnicznym Szwecji z drugiej, kładzie ogromny nacisk do posiadania obeznanego z militariami społeczeństwa i nieustannie gotowej do boju armii.

Fińskie siły zbrojne (Puolustusvoimat, Fińskie Siły Obrony) dzielą się na trzy rodzaje sił zbrojnych: Wojska Lądowe (Maavoimat), Siły Powietrzne (Ilmavoimat) i Marynarkę Wojenną (Merivoimat). Jeśli idzie o najsilniejszą część armii fińskiej, czyli wojska lądowe, to przeszły one w ostatnich latach gruntowną modernizację i restrukturyzację – w 2012 roku zmniejszono liczbę pracowników cywilnych i zawodowych żołnierzy z blisko 15 tysięcy do 12 300 osób, zaś z ogółu Maavoimat z 35 tys. do 23 tys. żołnierzy, co ma poprawić jakość wyszkolenia żołnierzy. Dowodzenie fińską armią lądową jest usystematyzowane poprzez podział na trzy Dowództwa Regionalne (Północ, Zachód i Wschód), z 12 obwodami (odpowiednikami okręgów) wojskowymi, dowodzonych przez Szefa Obrony, podległemu prezydentowi, który współpracuje z tamtejszym MON.

W Finlandii mimo głębokich zmian, nadal istnieje obowiązek poboru wojskowego – podlega mu każdy mężczyzna w wieku od 18 do 30 lat, gdzie w zależności od stopnia wojskowego i specjalizacji militarnej odbywa on służbę w różnych okresach czasu; szeregowi pół roku, żołnierze podstawowych specjalizacji dziewięć miesięcy zaś korpus oficerski, podoficerski i wysoce specjalistyczny – rok. Po ukończeniu służby poborowej każdy wyszkolony rekrut przechodzi do rezerwy podzielonej na trzy klasy, w tym przypadku do najwyższej, pierwszej. Jednostki operacyjne są podzielone na wyspecjalizowane do walk w poszczególnych warunkach brygady i pułki – Jääkäriprikaati, tj. brygada jęgrów, przeznaczona do walk w zimie w rejonie bieguna polarnego, stacjonująca w Rovaniemi na północy kraju, Kaartin jääkäirykmentti, gwardyjski pułk jęgrów mający za zadanie obronę rejonu Uusimaa, czyli Helsinki i okolic, szkolonej do działań w obszarze miejskim, Utin Jääkäirykmentti, pułk jęgrów Utti, jednostki specjalnej, będącej elitą Maavoimat.

Po przeprowadzeniu tzw. reformy Brygady 2005 stworzono dodatkowe brygady, mające głównie za zadanie obronę poszczególnych części kraju: Karjalan prikaati, Brygada Karelia, mającej swój garnizon w mieście Kouvola, o charakterze brygady zmierzchniowanej mającej bronić najbardziej neralgicznej części Finlandii, mianowicie terytorium południowej Karelii, Kainuun prikaatiin, Brygada Kainuu, z siedzibą w Kaajani (obrona centrum państwa), Porin prikaati, Brygada Pori (misje pokojowe) oraz Panssariprikaati, Brygada Pancerna stacjonująca niedaleko miasta Tampere, pełniącą rolę jednostki szybkiego reagowania.

Dzięki takiemu systemowi poboru i rezerwy a także dostosowanemu do warunków terenowo – klimatycznych podziałowi sił operacyjnych, Finlandia może zmobilizować w stanie zagrożenia około 350 tys. ludzi w tym do prawie ćwierć miliona żołnierzy armii zawodowej (w tym wojska lądowe do nieosiągalnej dla 35 – milionowego państwa jakim jest Polska liczby 150 tysięcy i tamtejszą Straż

Graniczną), co oznacza

w przeliczeniu na liczbę ogółu obywateli stanowi 7 % ich całkowitej liczby, stawiając ten nadbałtycki kraj w światowej czołówce, jeśli idzie o zdolności mobilizacyjne społeczeństwa. Armia fińska, w tym marynarka wojenna i siły lotnicze, posiada zróżnicowany, acz nieustannie modernizowany i nowoczesny sprzęt wojenny, m.in. unowocześnione wersje sowieckich czołgów typu T – 55 i T – 72M1 oraz niemieckie Leopardy 2A4 i 2A6 w łącznej liczbie 270 sztuk. Oprócz tego posiada prawie 1400 wozów bojowych (głównie rodzime Patria i starsze, sowieckie BTR – 50), nowoczesną artylerię rakietową i stacjonarną w liczbie ponad 800 sztuk, jak również nowoczesny park lotniczy – samoloty typu Hawk, F – 18 Hornet i szwedzkie Gripeny i 21 śmigłowców oraz marynarkę wojenną liczącą w przybliżeniu 40 okrętów (głównie korwety i okręty podwodne).

Finlandia jest jednym z najbardziej uzbrojonych krajów na świecie, gdzie istnieje powszechne prawo dostępu do broni, a jej posiadanie jest od zawsze wpisane w tradycję i mentalność Finów. Sprawia to że praktycznie każdy fiński obywatel jest gruntownie przeszkolony i obeznany z bronią na wypadek wojny – w Polsce coś, co jest szczególnie teraz niemożliwe. Także system poboru i rezerwy ułatwia znacznie przystosowanie żołnierza do konkretnego rodzaju ewentualnych walk – w Finlandii panuje dbałość o to ażeby każdy rekrut bądź rezerwista odbywał swoją służbę wojskową i ćwiczenia

w jednostce leżącej najbliżej jego miejsca zamieszkania, co pozwala na lepsze zapoznanie i zintegrowanie się żołnierzy pochodzących z tych samych okolic, a tym samym pozwala na jego lepsze wykorzystanie operacyjne w walce dzięki jego znajomości terenu i bliskich więzi z sąsiadami – kolegami z rezerwy. Wszystko to powoduje że Finlandia, mimo iż od prawie 70 lat umiejętnie unika wszelkich sytuacji kryzysowych w polityce zagranicznej, jest przygotowana na ewentualną wojnę.

Szwajcaria – modelowy przykład doskonałego współdziałania armii ze społeczeństwem, stawiana jako wzór rozwiązań możliwych do zastosowania w polskiej doktrynie wojennej rozwiązań przez polskich nacjonalistów i sporą część tzw. środowisk prawicowych, głównie liberalnych spod znaku KNP, KORWIN czy też centroprawicy skupionej wokół PiS. Kraj Helwetów ze względu na swoją specyfikę

i uwarunkowania historyczne i terenowe od blisko 150 lat prowadzi szeroko zakrojoną politykę obronną – jako kraj wieloetniczny i wielojęzyczny, zamieszkiwany przez ludność francuską, niemiecką, włoską i autochtoniczną retoromańską (bezpośrednich potomków starożytnego ludu Helwetów, od nazwy których Szwajcaria wywodzi swój przydomek),

a ostatnimi czasy także wskutek ekonomicznej i politycznej emigracji uzupełnianej przez ludność pochodzącą głównie z Kosowa, Albanii i zachodniej części Bałkanów, z dominującym obszarem górskim, armia i idea militaryzacji narodu pełnią w niej ważną rolę czynnika zespalającego obywateli z państwem, niezależnie od pochodzenia, kształtując w nich odpowiednie postawy odpowiedzialności zbiorowej. Wpływ mają na to również doświadczenia z przeszłości – Szwajcaria choć od 200 lat jest państwem neutralnym, to od zawsze słynęła z dobrych i bitnych żołnierzy (przykład papieskiej Gwardii Szwajcarskiej), jednakże aż do połowy XIX wieku poddawana była różnym wstrząsom politycznym, zwykle z kilku powodów: pierwszy, wynikający z konfliktów na tle religijnym i politycznym pomiędzy katolikami a protestantami (kalwinami) od XVI do XIX wieku (ostatnim akordem tej rywalizacji była wojna domowa w 1848 roku, gdzie Szwajcarii groziła przez moment militarna interwencja francuska), ingerencją dużych sąsiadów z zachodu i wschodu w sprawy wewnętrzne dumnych potomków Wilhelma Tella, tj. Francji i habsburskiej Austrii, a w ostatnich dziesięcioleciach zagrożenie inwazją hitlerowskich Niemiec po ich zwycięstwie nad Francją i państwami Beneluksu w 1940 roku.

Dzisiaj najbardziej prawdopodobnymi zagrożeniami, jakie mogą spotkać małą Szwajcarię są przede wszystkim zagrożenia terrorystyczne związane z radykalizacją części muzułmańskich środowisk imigranckich wewnątrz kraju, przeniesienie się kłopotów etnicznych z sąsiedniej Francji lub Niemiec na teren państwa czy też zagrożenie neutralnej postawy państwa wskutek zmieniającej się sytuacji geopolitycznej w Europie, związanej z osłabieniem struktur unijnych. Wszystkie te czynniki przedkładają się na to, że Szwajcarzy nieustannie modernizują swoją armię i rozwijają zdolności obronne wśród szwajcarskiego społeczeństwa.

Szwajcarska strategia obrony kraju jest bezpośrednio związana z neutralną polityką tegoż państwa w oparciu o tzw. doktrynę Bindschedlera z 1954 roku, zakładającej odejście od neutralizmu Helwetów w kilku przypadkach: agresji państwa z zewnątrz na Szwajcarię, koniecznością pomocy humanitarnej i obroną praw człowieka. Duże znaczenie ma także wysoki stopień finansowania budżetu na cele obronne, który wynosi ok. 6 procent PKB. O ile liczba armii zawodowej, zorganizowanej na wzór milicyjny, defensywny, jest teoretycznie w warunkach europejskich i światowych w miarę normalna, gdyż wynosi 135 tysięcy żołnierzy, w tym 4 – tysięczny korpus bezpieczeństwa (w porównaniu do zaledwie 90 tys. WP), o tyle możliwości szybkiej mobilizacji rezerwistów są ogromne, a to dzięki systemowi poboru i szkoleń rezerwistów.

Mianowicie każdy dorosły Szwajcar podlega obowiązkowi służby zasadniczej od 18 do 34 roku życia. Najpierw wszyscy rekruci przechodzą około kilkumiesięczne szkolenie wojskowe (4 – 5 miesięcy), a następnie corocznie, po przejściu do rezerwy, odbywają w podobnym wymiarze czasowym obowiązkowe ćwiczenia, zaś ci, którzy nie zostali powołani do wojska, są zobowiązani do uiszczania specjalnego podatku na potrzeby militarne państwa i uczestnictwa w oddziałach tamtejszej obrony cywilnej. Każdy młody obywatel szwajcarski po przejściu do cywila nadal jest pod bronią, kiedy to otrzymuje broń z arsenału wojskowego do domu, aby w razie potrzeby być od razu gotowym do walki. We wcześniej, w wieku 18 lat, każdy Helwet odbywa 3,5 miesięczne szkolenie unitarne, mające zaznajomić go z bronią i podstawowymi zasadami sztuki wojennej. W czasie poboru dowództwo armii stara się o to aby w jednostkach wojskowych służyli wspólnie ludzie pochodzący z różnych regionów etnojęzycznych kraju, co umożliwia zwiększenie poczucia przynależności do jednego narodu, nabranie obopólnego szacunku oraz lepsze poznanie mentalność i języków Szwajcarów z innych części alpejskiego państwa. Dzięki temu szwajcarskie dowództwo, dowodzone przez szefa sztabu i ministerstwo obrony narodowej, ma możliwość zmobilizowania maksymalnie w ciągu 72 godzin blisko 360 tys. żołnierzy, co stanowi wzięcie pod broń blisko 5 % ogółu społeczeństwa (Szwajcaria liczy około 8 milionów ludzi), co jest

w skali europejskiej rekordowym wynikiem. Armia szwajcarska jest dość dobrze wyposażona i zmodernizowana – posiada na swym stanie 224 czołgi marki Leopard, 580 sztuk transporterów opancerzonych typu M113 i 183 egzemplarze bojowego wozu piechoty szwedzkiego Stridsfordon 90, produkowanego na szwedzkiej licencji. Każdy żołnierz, niezależnie od specjalności bojowej, jest wyposażony w szturmowy karabin automatyczny rodzimej produkcji, Sturmgewehr 550 kaliber 7,5 mm. Poza tym Szwajcarzy posiadają dostosowaną do warunków górskich artylerię typu haubicznego i nowoczesne lotnictwo, w skład którego wchodzi samoloty typu F – 18 Hornet, Northrop F-5 Tiger II, a ostatnimi czasy jest wyposażane w najnowsze modele Gripenów szwedzkiej formy SAAB.

Należy dodać, że Szwajcaria posiada blisko 3 miliony sztuk broni palnej, co stawia ją obok USA w ścisłej czołówce najbardziej zmilitaryzowanych państw świata, a posiadanie broni przez obywateli jest gwarantowanym prawnie i konstytucyjnie przywilejem każdemu, kto ma ukończone 18 lat, jest zdrowy psychicznie i fizycznie i przeciwko któremu nie toczy się żadne postępowanie karne, zaś każdy Szwajcar od 12 roku życia ma prawo należeć do związków i organizacji paramilitarnych i szkolić się w sztuce władania bronią.

Czynniki te, zebrane w spójną i logiczną całość, sprawiają że Szwajcaria bez względu na zmieniające się koniunktury międzynarodowe może dzięki głębokiej militaryzacji własnego narodu nadal prowadzić swą neutralną politykę i nie musi się obawiać potencjalnych zagrożeń i agresji z zewnątrz, ciesząc się blisko od 170 lat pokojem, a słynne powiedzenie Helwetów – Szwajcaria nie ma armii, cała Szwajcaria jest armią, nadal jest aktualne i właściwe.

Wymienione tutaj przykłady doskonale przygotowanych do konfliktów zbrojnych

i zagrożeń kryzysowych dwóch potencjalnych państw frontowych – Izraela i Finlandii oraz słynącej ze znakomitego wyszkolenia militarne narodu Szwajcarii, są jakże ewidentnym dowodem na to że idea militaryzacji narodu jest potrzebna i stanowi gwarancję bezpieczeństwa każdego państwa, co może stanowić asumpt do wdrożenia własnych rozwiązań państwowych i oddolnych nad Wisłą, zwłaszcza przez Nas, polskich nacjonalistów, o czym będę jeszcze pisał w kolejnych dwóch tekstach, poświęconych teże tematyce.

Maciej Mańkowski

Bibliografia:

<https://pl.wikipedia.org/wiki/Izrael>

<http://www.almaszrik.uni.lodz.pl/KobietywIzrealskichSilachObronnych.pdf>

<http://www.psz.pl/116-bezpieczenstwo/sily-zbrojne-izraela>

<http://niezalezna.pl/68597-armie-poborowe-model-szwajcarski-i-izraelski>

<https://pl.wikipedia.org/wiki/Finlandia>

<http://militarium.net/finskie-sily-zbrojne-analiza-wybranych-aspektow-czesc-i/>

<http://niezalezna.pl/68476-armie-poborowe-model-finski-i-estonski>

<http://bellum.com.pl/szwajcaria-nie-ma-armii-szwajcaria-jest-armia/>

<http://e-civitas.pl/szwajcaria-nie-ma-armii-szwajcaria-jest-armia/>

W naszym państwie nadal w kwestii chociażby Trybunału Konstytucyjnego, nie dzieje się dobrze. Lecz niestety ten problem to tylko wierzchołek góry lodowej wadliwego prawa, które w naszym kraju obowiązuje. Warto więc zadać sobie pytanie : Czy żyjemy w państwie prawa? Czy też może żyjemy w kraju gdzie prawo jest ustalane przez sędziokratyczną klasę? Warto zastanowić się nad jej istnieniem.

Natomiast aby odpowiedzieć na pierwsze pytanie. Warto zastanowić się co jest źródłem prawa. Jest nim tak naprawdę od samego początku prawo naturalne. Jest ono uważane przez wielu jako to nadrzędne, wyższy rodzaj prawa niż prawo pozytywne, stanowi ono bowiem podstawę obowiązywania całego prawa pozytywnego. Przez to jest swego rodzaju wzorcem i ideałem, jakiemu powinny odpowiadać postanowienia prawa pozytywnego.

Natomiast prawo pozytywne to które tworzy człowiek, biorąc pod uwagę prawo naturalne, nigdy nie będzie doskonałe. Ale tak czy owak ono musi obowiązywać. Problem polskiego prawa pozytywnego jest tu bardziej złożony, niż nam się może wydawać. Przykładem dość dosadnym są tu czasy rozbiorów. Do odzyskania niepodległości na terenach które później znalazły się w granicach II Rzeczypospolitej obowiązywały różne systemy prawne. Sam proces unifikacji prawa nawet się nie zakończył. Choć prace Komisji Kodyfikacyjnej i jej wyniki, czyli projekty kodeksów postępowania karnego z 1928 roku, kodeks postępowania cywilnego z 1930 roku, kodeks Makarewicza wprowadzony 11 lipca 1932 roku, kodeks zobowiązań uchwalony 27 października 1933 roku, kodeks handlowy mający moc obowiązującą od 1 lipca 1934 roku, budzą uznanie, a Komisja opracowała także inne projekty ustaw. Powodem zaniechania owej unifikacji prawa był wybuch II wojny światowej. Po jej zakończeniu powstała Polska Republika Ludowa. Podstawową ustawą zasadniczą na której opierało się prawo pozytywne owego państwa ,była Konstytucja lipcowa, weszła ona w życie 22 lipca 1952 roku i przestała obowiązywać dopiero 17 października 1997 roku.

Podstawowe zmiany jakie wprowadziła to zamiast trójpodziału władzy, ustanowiła zasadę jedności władzy państwowej. Co bardzo istotne została ona napisana przez Józefa Stalina, polską wersję opracował Bierut, co na przestrzeni lat, po mimo 23 nowelizacji, w tym przywróceniu Izby Wyższej oraz urzędu prezydenta, sprawiało że to nie my, naród tworzyliśmy swoje własne prawo, lecz zostało ono utworzone przez innych.

Obecnie obowiązująca Konstytucja, pomimo swoich wielu obecnie błędów, była tworzona przez Komisję Konstytucyjną Zgromadzenia Narodowego, już inną kwestia jest to, że jeden z jej członków, zasiadał w przeszłości w Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Ale jednak była tworzona przez Polaków. Dziś pomimo dwóch nowelizacji, jednej z 2006 roku , oraz drugiej z 2009 roku. Ta ustawa zasadnicza jest mocno nieaktualna. Tak samo jak przepisy wielu rodzajów prawa, karnego, cywilnego czy też handlowego. Dlatego osobiście uważam, iż w interesie narodu polskiego, byłoby utworzenie specjalnej komisji, na wzór Komisji Kodyfikacyjnej, która by miała zmienić obecny katastrofalny stan prawny naszego państwa na lepszy, ustanawiając nową Konstytucję oraz wymyślając nowe zdecydowanie lepsze przepisy prawne, które w jak najmniejszym stopniu pozwoliłyby utrudniały życie naszemu narodowi.

Ostatnimi czasy coraz częściej środowiska nacjonalistyczne podejmują zagadnienia gospodarcze oraz społeczno-polityczne. Lokalne grupy na miarę swoich możliwości podejmują rozmaite działania praktyczne, natomiast w sferze medialnej (głównie internetowej) trwa od dawna wzmocniona propaganda, kładąca nacisk na owe kwestie. Jest to zwrot w dobrym kierunku, gdyż coraz więcej osób patrząc na kalendarz, zdaje sobie sprawę, że obecnie mamy XXI wiek. Na to wszystko złożyło się mnóstwo czynników, aczkolwiek jest to zasługa między innymi publicystów Szturmu, że wreszcie jako nacjonalisci opuszczamy cmentarz. Z dnia na dzień jest coraz lepiej, natomiast ilość czekającej nas pracy również wzbia, gdyż wirus antykomunizmu jest nadal silnie podtrzymywany w naszym środowisku. Zapewne wielu z was zdaje sobie z tego sprawę, ale trzeba to wciąż powtarzać, gdyż walka z nieistniejącym wrogiem pochłania ogromny potencjał drzemący wśród nacjonalistów. Większość ludzi myśli dwubiegunowo i propaganda ukierunkowana na „walkę z komuną” pcha nasze społeczeństwo w objęcia prawicy, co powoduje, że nasza ojczyzna znajduje się na skraju upadku. Prawdziwym wrogiem narodów jest dzisiaj kapitalizm, a odciąganie uwagi od walki przeciw systemowi jest w interesie wszelkiej maści liberałów i konserwatystów.

Obecnie mamy do czynienia z problemami, z którymi nasi przodkowie niekoniecznie musieli się zmagać. Można tu wymienić chociażby niespotykany dotąd poziom rozwarstwienia społecznego czy masową migrację ludności. Oba zjawiska są powodem licznych nieszczęść dotykających współczesne narody, zarazem jednak oba zjawiska mają swoje korzenie w liberalizmie, dlatego też ów liberalizm powinien być uważany za źródło wszelkiego zła. Dlatego też nacjonalizm winien być ruchem radykalnym oraz postępowym i dostosować się do nowych wyzwań, nacjonalizm musi być nowoczesny, na miarę XXI wieku, aby był w stanie zaproponować konkretne rozwiązania w historycznym momencie, w którym się obecnie znajdujemy. W tym miejscu pojawia się coraz częściej poruszana w naszym środowisku problematyka walki klas. Ów zjawisko jest procesem obiektywnie występującym i mimo że się zaostrza, to jest na pozór mniej widocznym, gdyż jest skutecznie maskowanym przez liberałów. Powtórzę coś, o czym pisałem w innym miejscu, ale nieco rozwinę, a mianowicie w jaki sposób interes narodowy pokrywa się z interesem klasowym. Otóż jeśli z klasowego punktu widzenia, interes klasy robotniczej oraz interes klasy kapitalistów są sobie przeciwstawne, to interes klasy robotniczej jest zdecydowanie bliższy interesowi narodowemu niż interes klasy kapitalistów. W większości przypadków jednak, ten ostatni stoi w opozycji względem dobra narodu. Jak pisze prof. Wielomski „istotą narodowego radykalizmu jest przededefiniowanie pojęcia narodu w duchu jakobińskim”. Oznacza, to że nacjonalizm powinien stanąć po stronie uciskanych klas społecznych przeciwko klasom uprzywilejowanym, po stronie klasy robotniczej przeciwko kapitalistom. Należy dokonać radykalnej syntezy nacjonalizmu oraz rewolucyjnego socjalizmu. Biorąc pod uwagę nowe warunki historyczne, należy zdefiniować również samo pojęcie klasy robotniczej. Będziemy tu tym zbiorczym pojęciem określać wszystkich ludzi pozbawionych środków produkcji, a szczególnie osoby bezrobotne, pracujące na umowach śmieciowych, pracujące na umowach o pracę za najniższą stawkę, wszystkie osoby wykluczone społecznie i będzie wyciągał przybywa... Przy wspomnianym rozwarstwieniu społecznym, prymat interesów klasowych prowadzi do realizacji interesów narodowych. Przy tym wiele myśli XX-wiecznych nacjonalistów nabiera nowego znaczenia, pasując idealnie do czasów współczesnych, a nie mając szans na realizację w dekadach poprzednich. Warto tu wspomnieć chociażby o koncepcji nacjonalizmu proletariackiego sformułowanej przez jednego z ojców polskiego nacjonalizmu, Stanisława Brzozowskiego.

Wyjaśnić w tym miejscu należy bardzo popularną kwestię tzw. solidaryzmu narodowego. Jeśli ma być rozumiany jako solidaryzm międzyklasowy, to musi być przede wszystkim relacją obustronną. Oczywiście istnieją postępowe kręgi wśród klasy uprzywilejowanej i w pewnym zakresie mogą być pomocne dla naszej sprawy. Ale częstsze jest jednak przeciwne zjawisko. Otóż jeśli kapitalista otwarcie mówi, że nie interesuje go interes narodowy i będzie wyciągał przybywa... Przy wspomnianym rozwarstwieniu społecznym, prymat interesów klasowych prowadzi do realizacji interesów narodowych. Przy tym wiele myśli XX-wiecznych nacjonalistów nabiera nowego znaczenia, pasując idealnie do czasów współczesnych, a nie mając szans na realizację w dekadach poprzednich. Warto tu wspomnieć chociażby o koncepcji nacjonalizmu proletariackiego sformułowanej przez jednego z ojców polskiego nacjonalizmu, Stanisława Brzozowskiego.

Wyjaśnić w tym miejscu należy bardzo popularną kwestię tzw. solidaryzmu narodowego. Jeśli ma być rozumiany jako solidaryzm międzyklasowy, to musi być przede wszystkim relacją obustronną. Oczywiście istnieją postępowe kręgi wśród klasy uprzywilejowanej i w pewnym zakresie mogą być pomocne dla naszej sprawy. Ale częstsze jest jednak przeciwne zjawisko. Otóż jeśli kapitalista otwarcie mówi, że nie interesuje go interes narodowy i będzie wyciągał przybywa... Przy wspomnianym rozwarstwieniu społecznym, prymat interesów klasowych prowadzi do realizacji interesów narodowych. Przy tym wiele myśli XX-wiecznych nacjonalistów nabiera nowego znaczenia, pasując idealnie do czasów współczesnych, a nie mając szans na realizację w dekadach poprzednich. Warto tu wspomnieć chociażby o koncepcji nacjonalizmu proletariackiego sformułowanej przez jednego z ojców polskiego nacjonalizmu, Stanisława Brzozowskiego.

Może są to odległe wizje, ale perspektywa rewolucji narodowej w jednym kraju, będącym zaledwie drobnym ogniwem w światowym systemie kapitalistycznym, jest przedsięwzięciem wiele niebezpiecznym. Czy to jednak oznacza porzucenie ideałów rewolucyjnych? Nie, wręcz przeciwnie. Budowa Narodowego Państwa Pracy w jednym kraju zagroziłaby interesom międzynarodowych kapitalistów i mogłaby sprowokować imperialistyczną interwencję, a takich przykładów w historii współczesnej wcale nie brakuje. Nie jesteśmy również tak rozległym krajem, jakim była Rosja w 1917 lub w 1924 roku, więc nie możemy sobie pozwolić na zamknięcie się na współpracę z innymi, często bratnimi narodami. Dlatego też dążenie do realizacji interesów narodowych przy jednoczesnym zachowaniu pryncypów rewolucyjnych, zakłada konieczność współpracy międzynarodowej między nacjonalistami oraz klasą robotniczą różnych krajów. Nie oznacza to jednak utopijnych wizji rewolucji światowej. Oznacza to współpracę oraz w miarę równomierny proces rewolucyjny na większych obszarach. Jako propozycję mogę podać współpracę nacjonalistów w takich krajach jak Polska, Czechy, Słowacja, Węgry, Ukraina. Wszystkie te kraje w mniejszym lub większym stopniu cierpią z powodu kapitalizmu oraz neokolonializmu, będącego narzędziem agresji kapitału stosowanego przeciw naszym narodom. Wymienione przeze mnie kraje są w podobnej sytuacji oraz leżą blisko siebie. A chyba każdy się zgodzi, że bliższy mu nacjonalista węgierski niż kapitalista polski.

Oczywiście, jest to tylko propozycja, wielu z nas widziałoby również inne narody, z którymi moglibyśmy współpracować, różne mogłyby być też formy tejże współpracy, dlatego to zagadnienie zostawiam na szerszą dyskusję.

Zjawisko masowej imigracji, poruszane w szeroko pojętym środowisku patriotycznym w mniej lub bardziej rozsądny sposób, również jest związane ze zjawiskiem walki klas. O ile wielu świadomych nacjonalistów podkreśla związek przyczynowy między kapitalizmem a migracją ludności, o tyle wśród powszechnej świadomości społecznej sytuacja wygląda nieporównywalnie gorzej. Myślę, że każdy czytelnik Szturmu zna słynne w naszym środowisku słowa Alana de Benoista „Ktokolwiek krytykuje kapitalizm, jednocześnie aprobując imigrację, której pierwszą ofiarą jest jego własna klasa robotnicza, powinien się lepiej zamknąć. Ktokolwiek krytykuje imigrację, jednocześnie milcząc na temat kapitalizmu, powinien zrobić to samo.” Niestety, prawicowa hipokryzja mocno zakorzeniona w naszym społeczeństwie odwraca uwagę od prawdziwego problemu. Jest zwykłym kretynizmem zwalczanie przyczyny jakiegoś zjawiska, zapominając całkowicie o skutku, który je wywołał lub nawet, co ma często miejsce, świadomie go pomijając. A w tym wypadku prawdziwym winnym jest imperializm oraz propaganda działająca na rzecz kapitału. Osoby będące pod jej wpływem są taką samą ofiarą jak imigranci. Gwałty i morderstwa na masową skalę w krajach zachodu oraz olbrzymi wzrost przestępczości są ogromnym problemem, ale nie zapominajmy, że to samo zachód robi u nich od wielu dekad. I mimo że cywilizacja wschodu stoi zdecydowanie wyżej od cywilizacji zachodu, to w powszechnej świadomości cały problem niejednokrotnie sprowadzany jest do problematyki ruchania zwierząt (mam na myśli o nacjoprymitywizm związany z kozami). Oczywiście z drugiej strony sceny politycznej, czyli wśród środowisk proimigranckich jest podobny problem, oni również bardzo często pomijają kwestie kapitalizmu oraz imperializmu w całym zjawisku. Aczkolwiek chcę się skupić na środowiskach prawicowych, gdyż mają one od dekad monopol na władzę, a zarazem na propagandę, szczególnie w naszym kraju. Najbardziej jaskrawym przypadkiem są środowiska konserwatywno-liberalne bardzo często stojące w pierwszym szeregu walki z masową imigracją, a jednocześnie najzacieklej promujący zbrodniczą ideologię wolnego rynku. Dochodzi do takich sytuacji, że na manifestacjach antyimigranckich można usłyszeć tak absurdalne hasła, jak na przykład „raz sierpem, raz młotem, islamską hołotę”, całkowicie zapominając, że to europejczy komunisci jako jedni z pierwszych wychodzili na ulicę sprzeciwiając się masowej imigracji spoza Europy.

Piękno tkwi w różnorodności, a liberalizm pod płaszczykiem „wielokulturowości” zabija właśnie tę różnorodność. Mieszanie ras oraz kultur na skalę przemysłową działa wyniszczająco na obie strony, zarówno na przybyszów, jak i na gospodarzy. Ale leży to w interesie liberałów. Odwraca to uwagę od prawdziwych wrogów, jakimi są kapitaliści, a w zamian skierowuje ją na przedstawicieli klasy robotniczej innych narodów, ras czy kultur. Oni również w swoich krajach byli i są ofiarą kolonializmu, tak jak my u siebie. Z tym, że na ich szkoły, szpitale i osiedla spadały zachodnie bomby, a na nasze nie (choćby była taka możliwość, gdyż w latach .70 zachód miał o nas sporo informacji strategicznych od zdrajców, którzy są w III RP gloryfikowani). Skoro wszyscy jesteśmy ofiarami systemu, to nienawście należy ukierunkować przede wszystkim przeciwko własnemu systemowi. Każdy w swoim kraju, wśród swojego narodu, współpracując z tymi narodami, z którymi jesteśmy w stanie się porozumieć (zamiast wysuwania nacjoprymitywnych roszczeń terytorialnych, jak to bywa bardzo często w przypadku ukraińskich miast).

„Trzeba mieć odwagę, by spojrzeć prawdzie w oczy i przyznać, że nasz kraj zaliczyć należy do eksploatowanego przez zachodni imperializm Trzeciego Świata. A skoro tak, to nie ma tu sensu żadna importowana z Zachodu kalkomania "prawicy" czy "lewicy" - Polsce potrzeba frontu wyzwolenia narodowego i społecznego na trzecioświatową modłę (Carlos Marighella pisał, że w kraju takim jak Brazylia walkę z imperializmem prowadzić trzeba na płaszczyźnie wewnętrznej).”¹

W związku z tym, że Polska jest peryferią, sposób na podniesienie poziomu życia szerokich mas narodu jest przyglądanie się peryferyjnym rewolucjonistom i dostosowanie ich taktyki do warunków polskich. W Polsce korporacyjny kapitalizm i kulturowy marksizm jest silnie okopany i strzeżony przez dotowane instytucje. Gramscism "z prawa" może trzymać pozycje, ale nie ma wielkiej szansy na silną i zdecydowaną ofensywę. Pozycję można zacząć budować tam, gdzie marksizm kulturowy nie ma dużej chłonności - wśród konserwatywnych mas narodu, od dołu, u podstaw. Na salony wiedzie droga przez ulice. Rewolucja z prawa zaczyna się od ulicy. Zamiast "marszu przez instytucje" - "do instytucji przez ulice". Rewolucja narodowa wiedzie poprzez strajk generalny.

Wrogiem w sensie światopoglądowym jest marksizm kulturowy. Wrogiem w sensie ekonomicznym jest neoliberalny kapitalizm. Żadna partia polityczna (niezależnie od tego jak bardzo jest „patriotyczna” czy „narodowa”) nie doprowadzi do zmiany systemowej; a potrzebna jest właśnie zmiana systemowa. Jediną siłą, z którą musi liczyć się zarówno państwo jak i wielki kapitał jest związek zawodowy. Oczywiście, tak jak każda inna instytucja, jest podatna na korupcję (zarówno materialną jak i moralną), dlatego należy w syndykalizmie widzieć nie cel sam w sobie, ale środek do celu. Celem tym jest narodowa rewolucja, którą umożliwi sojusz narodowca i związkowca – nowa synteza dla nowych czasów.

Trzeba sobie powiedzieć jasno, iż na państwo demoliberalne nie ma co liczyć, gdyż demoliberalni politycy w dużej mierze siedzą w kieszeni wielkiego kapitału. Niestety, parlament, w związku z tym, jest często wykonawcą woli nie narodu, tylko wielkiego biznesu²

:

„Pierwszym i najważniejszym orężem kapitalistów pozostaje państwo i jego ustawodawstwo. Klasy posiadające lubią korzystać z polityki traktując ją oczywiście instrumentalnie – kiedy im służy wspierają ją, kiedy nie jest do końca zgodna z ich interesami wywołują kampanię przeciw tej polityce bądź sile (najczęściej skutecznej). Dlatego też kiedy pracodawcy chcą ograniczenia rent (niedawna propozycja Lewiatanu), pensji minimalnej, kodeksu pracy – to dostają to bez słowa sprzeciwu.

To kapitał finansuje ich kampanie wyborcze, to w rękach kapitału znajdują się media – aż w końcu „świat biznesu” i „świat polityki” wzajemnie na siebie nachodzą. Dlatego robotnicy ani takiej siły, ani takiego „lobby” nie posiadają i posiadać prawdopodobnie nigdy nie będą.

Drugą i także skuteczną bronią pracodawców pozostaje posiadanie przez nich środków produkcji (...). Prowadzi to oczywiście do tzw. „terroru ekonomicznego” wskutek czego, robotnik jest zmuszony zaakceptować niemal każde warunki stawiane mu przez pracodawcę i znosić wszystkie szykany i wyzysk w obawie przed utratą pracy i w następstwie tego, niemożności wyżywiania rodziny i samego siebie.

Mitem pozostaje „wolny wybór” jako podobno daje nam kapitalizm. Logika jest prosta; albo poddajesz się wyzyskowi i niesprawiedliwości kapitalizmu, albo ładujesz na bruku i cierpisz biedę bądź wpędzasz się w patologię.”³

Działalność związkowa może utorować drogę do zgięcia karku plutokratycznemu establishmentowi jedynie w sytuacji, gdy związek, związki czy też ruch związkowy będą walczyły z systemem neoliberalno-globalistycznym a nie tylko "o swoje"⁴

. Indywidualistyczno-vegetacyjna mentalność typu „to nieważne czyje to je, ważne to je co je moje” (a co poza moją zagrodą – mam gdzieś) jest moralną gangreną, który musi zostać wyleczona i ogniem wypalona. W nowym narodowym syndykalizmie nie ma miejsca dla oportunistów. Działalność związkowa nie może być postrzegana jako instrument interesów dla kilku cynicznych starych pierników (ukształtowanych przez PRL), tylko środkiem do odnowy moralnej i zmniejszenia stratyfikacji społeczno-ekonomicznej. Polacy muszą wreszcie zrozumieć, że bez ducha solidarności daleko jako wspólnota narodowa nie zajdziemy. Bardzo trafnie ukazuje to Jarosław Tomaszewicz:

„Organiczna niezdołność do perspektywicznego myślenia komponuje się harmonijnie z panującą u nas od wieków indywidualistyczną filozofią życiową: przeciętny Polak wierzy, że on da sobie radę w pojedynkę. Polak potrafi! Niestety, doświadczenia amerykańskie nie potwierdzają tego. Choć jednostki wśród amerykańskiej Polonii rzeczywiście odniosły sukces, to Polonia jako całość (a więc też statystyczny Polonus!) jest gorzej sytuowana niż grupy etniczne działające solidarnie i zespołowo jak Irlandczycy czy Włosi (o Żydach nie wspominając). To „oczywista oczywistość”, że jednostka z grupy peryferyjnej ma trudniejszy start, że awansując musi pokonać więcej trudności niż gdyby należała do grupy centralnej; płynie z tego logiczny wniosek, że awans grupowy zwiększa szanse jednostki, warto więc działać zespołowo, zadbać o dobro wspólne. W Polsce jednak oczywiste to nie jest, tu każdy sobie rzepkę skrobie. Media szczujące przeciw nieudolnemu skądinąd państwu postawę tą pogłębiają.”⁵

Nasza walka to walka zarówno zewnętrzna jak i wewnętrzna. Walka wewnętrzna to walka z mentalnością bierno-konformistyczno-oportunistyczną – to, co Jan Stachniuk nazywał "wspakulturą". To jest nasz wróg wewnętrzny. On jest w każdym z nas. Walka zewnętrzna - z marksizmem kulturowym i neoliberalizmem (razem tworzące „świat (PO)nowoczesny”) – jest odbiciem tej wewnętrznej walki. Wspomniany wróg wewnętrzny jest obecny w całej masie rzekomych "nacjonalistów", dla których "nacjonalizm" sprowadza się do pojawienia się na kilku manifestacjach na rok. Pojawienie się na kilku manifestacjach w ciągu roku to nie jest żadna działalność, tylko samo-rozgrzeszenie z własnego lenistwa i bierności. Tak jak pojawienie się kilka razy na mszy nie czyni katolikiem, tak pojawienie się kilka razy na manifestacji nie czyni nacjonalistą. Przychodzi kiedyś taki czas, że trzeba podjąć męską decyzję - albo się angażuje, albo daje sobie spokój. Polska nie potrzebuje abnegatów ani indywidualistów vegetacyjnych; potrzebuje ludzi, dla których modlitwą jest czyn. Myślicie, że wasze warunki pracy polepszą się, a wasze pensje wzrosną bo wielki kapitał przestraszy się Marszu Niepodległości raz na rok?! Banksterzy, menedżerowie i finansjera doskonale wiedzą, że po marszu większość i tak pójdzie sobie chlać, "masakrować lewaków" na Facebook'u albo iść na kebab po wyskandowaniu „Polska wolna od islamu!”⁶

, sądząc że obowiązek narodowy został spełniony (a raczej odbębniiony). Jeżeli Polacy się w końcu nie zmobilizują do regularnego i sumiennego czynu narodowego, to oznacza to, że w pełni zasłużyli sobie na los, jakie zgotowało im diadostwo, które dogadało się przy okrągłym stole. Jaki wkład pracy – takie wyniki.

Porządek okrągłostołowy i widmo Magdaleny będą panowały w naszym kraju tak długo, jak Polak - Polakowi wilkiem będzie. Dopiero gdy duch Solidarności (Polak - Polakowi bratem) zatryumfuje, wtedy będzie szansa na nową, trochę lepszą Rzeczpospolitą. Polacy mają chlubne tradycje zarówno jeśli chodzi o działalność narodową, jak i syndykalistyczną (Stanisław Brzozowski, Kazimierz Zakrzewski, „Zetowcy”, NSZZ Solidarność itp.). Jedna i druga tradycja wiodła nasz naród do realnych sukcesów. Dlatego w takim razie nie połączyć ich ze sobą, tworząc nową syntezę dla nowych czasów? Niech duch Romana Dmowskiego poda rękę duchowi Andrzeja Gwiazdy. Droga do "Wielkiej Polski" wiedzie poprzez "Solidarność".

Nie lewacka! Nie liberalna! Tylko Polska solidarna!

Liberalizm zabija narodowców

Reaktywowany ruch narodowy próbuje zyskać realny wpływ na Polaków oficjalnie od 1989 roku. Mimo, iż ideały pozostały te same to nacjonalizmowi we współczesnej Polsce nie udało się zbudować choćby namiastki tego co stanowił w czasach przedwojennych. Zastanawiając się nad przyczyną marginalnego znaczenia naszej idei w XXI wieku można, dojdąc do dwóch różnych wniosków. Pierwszy z nich stwierdza, że porażki są związane z nieudolną polityką współczesnych liderów ruchu narodowego. Natomiast drugi, że wina leży po stronie Polaków, ich zepsucia i samych struktur, które dały się wyniszczyć liberalnym trendom europejskim. Prawda leży po obu stronach, liberalizm zabija politykę narodowców i liberalizm zatruwa nasz naród, a wraz z nim struktury ruchu narodowego.

O sukcesach i porażkach...

Najnowsza historia ruchu narodowego to nieustanny ciąg wielkich sukcesów i wielkich porażek. Reaktywacja działań ruchu narodowego i powrót przedwojennych weteranów w 1989 roku, miały być początkiem budowy wielkiego ruchu, opierającego się na ideałach polskiego nacjonalizmu. Jednak realia okazały się wyjątkowo brutalne. Nowe pokolenie Polaków nie wchodziło drzwiami i oknami na spotkania narodowców. Z mody wyszły już piaskowe koszule, czy hasła przypominające o potrzebie poświęcenia dla Ojczyzny. Prawdziwe znaczenie ruch narodowy zyskał dopiero na początku XXI wieku, kiedy to w zliberalizowanej wersji wszedł do parlamentu w postaci Ligii Polskich Rodzin.

LPR, czyli trochę bardziej radykalny PiS(jednak jednoznacznie odwołujący się do endeckich tradycji), ciągle wstydzący się wybrków niekontrolowanej Młodzieży Wszechpolskiej wegetował w parlamencie przez 2 kadencje. Ze względu na większe ambicje niż opozycja parlamentarna, czy jeden z koalicjantów LPR postanowił dostosować się do mentalności większego elektoratu, w efekcie czego odbiegł do endeckich tradycji i zliberalizował swój przekaz i postulaty. Coraz większe odbieganie od radykalnego charakteru ruchu sprawiło, że stary elektorat wołał zagłosować na silniejszą formację głoszącą takie same poglądy, a sam LPR w kolejnych wyborach nie przekroczył progu wyborczego. W sytuacji kryzysu struktury zawiodły, rozproszyły się po innych formacjach politycznych, bądź zatraciliśmy o nich słuch. Środowisko narodowe pochłonął kryzys na linii LPR – MW, co sprawiło, że idea narodowa usunęła się w cień na kolejne parę lat.

Kompromitacja LPR doprowadziła do tego, że najwytrwalsi ideowo działacze musieli budować ruch od nowa. Po latach wysiłku i sukcesie Marszu Niepodległości powstał „Ruch Narodowy”, który zapowiadał się jako najbardziej radykalna formacja na arenie polskiej polityki. Słyszący z zamieszek na Marszu Niepodległości, otoczony tłumem groźnych kibiców i wykrzykujący hasła o „obaleniu republiki okrągłego stołu” stał się nową nadzieją młodego pokolenia i realnym zagrożeniem dla zabetonowanego mainstreamu. Jednak liderzy Ruchu Narodowego okazali się bardzo niecierpliwi, po latach powstawania ze zgłiszczy i stosunkowo łatwym sukcesie Marszy Niepodległości narodził się głód spektakularnych sukcesów wyborczych. Po umiarkowanie dobrej kampanii wyborczej do europarlamentu okazało się, że nowe pokolenie Polaków woli liberałów w postaci Kongresu Nowej Prawicy niż radykalnych narodowców.

Refleksja władz Ruchu Narodowego była wyjątkowo brutalna. Ruch Narodowy mający „obalić republikę okrągłego stołu” postanowił się do niej dostosować. W Ruchu Narodowym zaczęli pojawiać się zawodowi politycy nie związani ideowo z naszym środowiskiem. Budowa politycznego kapitału kierowana była nie promocją idei, a promocją partii jako takiej i konkretnych osób. Narodowcy postanowili pójść drogą sukcesu korwinistów i twarde endeckie ideały, zastąpili modą na patriotyzm i wyświetleniami na Youtube, o czym najlepiej świadczy wystąpienie Zbigniewa Stonogi na Marszu Niepodległości w 2014 roku. Władz Ruchu Narodowego przy wyborze go na mówcę nie interesowało to czy on wierzy w ideę polskiego nacjonalizmu, czy jest godnym reprezentantem naszego ruchu, wystąpił tylko dlatego, że jak Korwin – Mikke był popularny w Internecie.

Apogeeum zliberalizowania się Ruchu Narodowego była rezygnacja z budowania marki i start do parlamentu z list Kukiz'15. Ambicją Ruchu Narodowego przestało być zapowiadane „obalenie republiki okrągłego stołu”. Po porażkach wyborczych RN nie myślał już nawet o zbudowaniu silnej opozycji parlamentarnej na poziomie LPR, jedyną jego ambicją zostało wprowadzenie kilku ludzi do parlamentu. Nie ważne jak i nie ważne z kim.

Dostosowywanie się do opinii publicznej i liberalizowanie postulatów, polityki i przekazu zabiło już tak naprawdę kolejny endecki zryw. W tej chwili moda na patriotyzm i coroczny sukces oczekiwanego Marszu Niepodległości podtrzymują przy życiu żywego trupa. Frustracja działaczy sprawia, że tworzą się wątpliwe lokalne organizacje nacjonalistyczne, które zresztą bardzo szybko się rozwiązują lub po prostu przestają działać. Porażki polityczne i wiążący się z nim rozpad struktur musi skłaniać do refleksji. Ideały którymi się kierujemy są takie same jak przed wojną, więc czemu nie odnosimy sukcesów na skalę przedwojenną?

Najczęstsza odpowiedź jaką słyszę jest proste „bo ludzie się zmienili” i o ile taką odpowiedź można pozornie uznać za niekonstruktywną, to tak naprawdę jest wyjątkowo prawdziwa. Budujemy ruch narodowy w zupełnie innych warunkach niż te które były przed wojną. Nasze pokolenie nie zna idei poświęcenia się, karność, zdyscyplinowania. Nasze pokolenie zjadł parszywy liberalizm, który jednostkę i jej prymitywne potrzeby umieścił na szczycie jakichkolwiek wartości. Dlatego zanim zaczniemy budować ruch narodowy, musimy zniszczyć naszego największego wroga – liberalizm! Liberalizm, który nie jest tylko zarazą ogółu, ale także tkwi w samym ruchu narodowym, w postawach działaczy, w tendencjach do konfliktów i rozłamów.

Składowe liberalizmu niszczące ducha narodowego

Ogół

Antropocentryzm

Największym przekleństwem naszej epoki jest kult człowieka. Mentalność ludzi XXI wieku ogranicza się do postrzegania świata jako zbioru niezwiązanych ze sobą ludzi. Nasze pokolenie nie pojmuje bytu zbiorowego i istoty działania na rzecz wspólnoty. Ciężko jest wyjaśnić takim ludziom potrzebę troski o dziedzictwo narodowe, o wartości moralne, czy potrzebę życia duchowego. Ta ułomność naszego pokolenia stawia nas na przegranej pozycji z ruchem KoLiberalnym i póki nie zwalczymy antropocentrycznego myślenia u naszych rodaków, nacjonalizm nie będzie miał znaczącego wpływu na nasz naród. Dlatego, że postulaty mówiące o wspólnocie, czy solidaryzmie narodowym zbyt kłócą się z potrzebami człowieka – jednostki.

Hedonizm

Chyba najpodlejsza cecha naszej epoki. Kult zaspokajania swoich najbardziej prymitywnych potrzeb stał się już nową religią zachodniego świata. Popularność masowego żywienia, coraz mocniejszy używek i powszechna seksualizacja mediów z taką samą siłą napędza międzynarodowe korporacje, co degraduje nasze społeczeństwo. Nie będzie Wielkiej Polski jeśli nasz naród, będzie szukał zaspokojenia swoich fizjologicznych potrzeb, zamiast skupiać się na walce o wielkość naszego narodu. Nie ma narodów składających się ze zwierząt, a czym bardziej się do nich upodabniamy, tym mniej jesteśmy narodem.

Relatywizm moralny

Nasza generacja skupiająca się na zaspokojeniu swoich najniższych potrzeb dorobiła sobie do tego filozofię argumentującą jej prymitywizm. Relatywizm podważa istnienie jakichkolwiek podstawowych wartości, dobre jest to co jednostka uważa za dobre dla siebie. Jest to tak samo głupia filozofia jak i niebezpieczna. Bo o ile samo dążenie do zaspokajania swoich potrzeb (hedonizm) jest w stanie zdegradować jednostki. To zorganizowana wokół tego ideologia jest w stanie zdegenerować masę.

Podstawą do budowania potęgi Europy było dążenie do doskonałości, w oparciu o powszechnie ustalone wzorce. W tej chwili możemy jasno dostrzec, że Europa z jakiegokolwiek ideału zrezygnowała, indoktrynowane jednostki same tworzą sobie systemy moralne, które dostosowują do własnych słabości, więc jeśli system moralny – instrument pozwalający nam na walkę ze słabościami jest do nich dostosowywany, nie może być mowy o choćby słynnym z Myśli Nowoczesnego Polaka „wyższym typie człowieka”. Naród Wielkiej Polski muszą budować jednostki walczące ze swoimi słabościami, dążące do ideału. Banda degeneratów nigdy nie będzie w stanie zbudować nic wielkiego. Jej egzystencja może jedynie opierać się na tym czym jest teraz, na byciu masą szczurów wyzyskiwanych przez małą klikę jednostek.

Organizacja

O ile wyżej wymienione liberalne zarazy dotyczą głównie ogółu, bo ciężko sobie wyobrazić narodowca który dobro człowieka uważa za ważniejsze od Boga, czy narodu. Tak jak i ciężko wyobrazić sobie hedonistę, czy relatywistę w organizacji narodowej. To niżej wymienione cechy są realnym problemem nacjonalistycznych struktur, przez które nasz ruch nie jest w stanie podjąć zadania, jakim jest zmienienie mentalności naszego narodu. Dlatego jeśli chcemy walczyć z narodową degeneracją musimy zacząć od udoskonalenia naszych struktur, od walki z liberalnymi cechami, które możemy dostrzec u nas lub w naszych organizacyjnych koleżółkach.

Egoizm

Ciężko jest nazwać osobę przychodzącą do działań w organizacji narodowej egoistą. No bo przecież przychodzi poświęcać swój czas i siły na rzecz idei, która nie dotyczy jego interesu. Jednak nasze

struktury są pełne egoistów. Mamy problem z karnością wśród działaczy, umiętnością poświęcania się, czy ze zwykłym zdyscyplinowaniem. Nasi działacze często nie chcą podejmować się prac na rzecz organizacji, czy robią to niechętnie, jeśli nie jest to związane z ich aktualnymi zachciankami.

Często spotykałem się na przykład z tendencją do wybierania sobie manifestacji na których będą. „Na tej będzie dużo osób, więc pójdę. Na tej będzie nas kilku to w sumie mi się nie chce”, albo „Ten temat zawsze mnie interesował to pójdę, a to jest nudne i nie ma to sensu”. Gdzie jest u takiego działacza poświęcenie na rzecz organizacji? Ile warty jest taki działacz, skoro tak naprawdę nie działa na rzecz organizacji, tylko działa ze względu swoich zachcianek?

Takie formy egoizmu nie mogą być dopuszczalne w strukturach narodowych! Działacze muszą działać na rzecz idei i organizacji. Jeśli nie nauczą się działać nawet własnym zachciankom, jeśli nie nauczą się realnego poświęcenia na rzecz ideałów, to odejdą przy pierwszym kryzysie w organizacji, a takie regularnie następują. Jeśli ruch narodowy ma dojść do zwycięstwa, to musi przechodzić kryzysy bez realnego szwanku na strukturach, a do tego są potrzebni działacze zdyscyplinowani i zdolni do poświęceń.

Egocentryzm

Jest to cecha naszej epoki, która skutecznie uniemożliwia nam organizowanie się w strukturach. Ludzie przychodzący działać narodowo bardzo często uważają, że mają więcej obowiązków od innych lub, że wymaga się od nich większego poświęcenia niż u innych. Taki egocentryzm potrafi być totalnie irracjonalny i mimo tego jest szczerze argumentowany. Działacze muszą zrozumieć, że ich koledzy działają mimo podobnego do ich poświęcenia. Każdy z nich ma obowiązki, naukę, pracę, życie osobiste. Każdy z działaczy rezygnuje po części z każdej z tych rzeczy, na rzecz budowy Wielkiej Polski. Nie ma działacza, który by z tego na rzecz idei nie rezygnował i działacze muszą zrozumieć, że poświęcenie będzie od nich wymagane. Zaslanianie się własnymi obowiązkami i nie patrzeć na to, że inni koledzy z nich rezygnują jest wyjątkowo trudne. Bardzo często można spotkać się z zapracowanymi działaczami odkładającymi każdą wolną chwilę na działalność i z takimi co demonizują swoje zapracowanie usprawiedliwiając swoje lenistwo. Póki działacze organizacji narodowych będą ograniczać swoją uwagę do zauważania tylko własnych problemów i poświęcenia oczekiwać jedynie od innych kolegów, nie będzie dało się jej skutecznie pracować w organizacji.

Konsumpcjonizm

Przy wszystkich porażkach organizacji ruchu narodowego, bardzo często chcemy sobie wmówić, że 27 lat ostatniej pracy nie poszło na marne i przez tą chęć popularny stał się pogląd, że „mimo, iż nie doszliśmy do politycznego wpływu w naszym kraju, to przez szereg lat formowaliśmy elity kolejnych pokoleń Polaków”. Jednak gdzie są te tworzone przez 27 lat elity? Ile osób z dawnych lat działalności dalej kontynuują swoją walkę? Jestem dumny z moich starszych stażem kolegów, którzy nie odpuścili i dalej wspierają nasz ruch. Jednak osoby, których ruch narodowy nie nauczył poświęcenia i wytrwania w idei nie można uznać za wartościowe, czy dobrze uformowane.

Nieustanna rotacja w naszych strukturach wynika z konsumpcjonistycznej mentalności naszego pokolenia. Działacze często przychodzą do organizacji narodowej „bo jest fajnie”, można poznać nowych kolegów, integrować się z nimi w dobrym klimacie, można zaimponować innym swoimi ideałami, czy utożsamić się z jakąś ideą. Do organizacji narodowej podchodzi się więc często jak do produktu zapewniającego wyżej wymienione rzeczy. Po paru miesiącach/latach każdy produkt się zużywa i wtedy taki działacz rezygnuje z działalności, zwyczajnie znudzony organizacją. Działaczy trzeba nauczyć idei poświęcenia, wytrwałości inaczej nasz ruch ciągle będzie kruchy. Będzie w nim dużo zapala młodych i mało chłodnych doświadczonych głów zdolnych do kierowania ruchem. Ruch narodowy będzie miał siłę przebicia gdy „Sztafetę” zastąpimy współpracą pokoleń na rzecz Wielkiej Polski!

Refleksja i walka!

Świadomość zdegenerowania naszego pokolenia i struktur nie może wiązać się z rezygnacją naszej działalności. Stoimy przed trudnym zadaniem ale temu zadaniu musimy poddać. Mentalność naszego pokolenia uświadamia nam, znaczenie pracy u podstaw. Nie możemy zajmować się polityką i liczyć na sukcesy wyborcze bez wyleczenia naszego narodu z liberalizmu. Nie wyleczymy naszego narodu, bez dobrze zorganizowanych struktur wolnych od cech liberalnych.

Trzecie przykazanie dekalogu Wszepolaka mówi „Wszepolak walkę ze złem, zaczyna od pracy nad samym sobą”. Każdy z nas musi wyzbyć się liberalizmu, każdy z nas musi nauczyć się pokory, karności, wytrwałości i poświęcenia. Tym damy przykład naszym kolegom i jeśli wytrwamy, następne pokolenie młodych nacjonalistów będzie mogło liczyć na doświadczonych kolegów i taki ruch będzie w pełni realizował ideę wszechpolską, która w swym zamierzeniu obejmuje nie tylko młodą część naszego narodu.

Czołem Wielkiej Polsce!!!

Tomasz Schabowski

Zapewne spora część współczesnych, polskich nacjonalistów nie słyszała o postaci Wincentego Lutosławskiego, a jego przynależność do środowiska narodowego może być powodem do dumy, o czym postara się zaświadczyć ten tekst. Dorobek intelektualny oraz dzieło życia tej postaci jest naprawdę imponujące.

Wincenty urodził się w 1863 roku w Warszawie, a zmarł 1954 w Krakowie. Jego ojcem był Franciszek Dionizy Lutosławski, który był odpowiedzialny za zbudowanie fortuny rodu Lutosławskich. Sam Wincenty studiował chemię i filozofię, jednak to z tą drugą dziedziną związał swoje życie. W trakcie studiów należał do korporacji akademickiej Konwent Polonia. Przez wiele lat wykładał na różnych uniwersytetach – m. in. na Uniwersytecie Jagiellońskim, Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie, czy zagranicznych w Lozanie i Genewie. Do jego największych zasług na rzecz nauki należy chronologiczne uporządkowanie „Dialogów” Platona, lecz nie poprzestawał on na zajmowaniu się historią filozofii, ponieważ sam próbował wypracować polski system filozofii narodowej, w której chciał połączyć idealizm platoński z romantycznym mesjanizmem polskim. Jego próba konsolidacji tych dwóch systemów nie kończyła się – co ważne – na intelektualnych dywagacjach. Starał się bowiem, żeby za ideą szedł czyn. Z czym to się wiązało? Zależało mu na tym, żeby Polacy byli narodem możliwie najbardziej czystym duchowo. Jego pierwszą inicjatywą społeczną było założenie w 1902 r. Eleuterii – towarzystwo do walki z alkoholizmem. Kilka miesięcy po jej powstaniu narodziła się organizacja Eleusis. Było to religijno-filozoficzne stowarzyszenie, które miało wytworzyć Polskę elitę prowadzącą do duchowego odrodzenia Polaków. Warto zaznaczyć, że w swym kształcie Eleusis nawiązywało do romantycznego Koła Sprawy Bożej – mesjanistycznej sekty założonej przez Towiańskiego, do której należeli m. in. Adam Mickiewicz i Juliusz Słowacki.

Czym zajmowało się Eleusis? Przede wszystkim członkowie tego stowarzyszenia musieli zachowywać poczworną abstynencję – od alkoholu, tytoniu, rozpusty i hazardu. Ponadto studiowali filozofię indyjską oraz platońską. Dokonywali ezoterycznych interpretacji dzieł Adama Mickiewicza. Praktykowali jogę. Kulturowali katolicką pobożność. Ćwiczyli krótkotrwałe i długotrwałe posty. Zachowywali dietę wegetariańską. Zajmowali się także propagowaniem idealów swojej organizacji takich jak karność, czy dyscyplina. Ważną informacją jest fakt, iż Wincenty Lutosławski, jako filozof o międzynarodowej sławie, pełnił w tym stowarzyszeniu rolę guru. Należy dodać, że Eleusis mocno wpłynęło na kształt powstałego później harcerstwa.

Poza pionierską działalnością realizującą ideały mesjanistyczne, Lutosławski należał także do Ligi Narodowej. Należy uznać jednak, że chęć wytworzenia Nowego Polaka, którą niewątpliwie da się w tej postaci dostrzec, łączy Wincentego jeszcze dobitniej z naczelnymi myślicielami endecji, czy późniejszych narodowych radykałów. Jako ciekawostkę warto wspomnieć, że dokonywał ekspertyz dla polskiej delegacji podczas konferencji wersalskiej.

Godnym zastanowienia jest to, czy współcześnie możemy się czegoś od tego człowieka nauczyć. Nie ulega wątpliwości, że Polacy nadal mają problem z używkami – w szczególności z alkoholem. Istnieje wiele organizacji starających się wpływać na ten stan rzeczy, ale niewiele z nich ma wymiar nie tylko fizyczny. Bez podłoża duchowego nie można mówić o dążeniu do moralnego uzdrowienia. Niewielu z nas – polskich nacjonalistów – podejmuje dobrowolne wyrzeczenia w imię uszlachetnienia całego narodu. Znakomitym dziełem Ruchu Oazowego i samego księdza Franciszka Błachnickiego jest Krucjata Wyzwolenia Człowieka, której członkowie właśnie w imię uzdrowienia innych sami podejmują się abstynencji. Może warto byłoby wziąć z nich przykład i przestać śmiać się z ludzi, którzy nie chcą ulegać nałogom. Popularna idea Straight Edge powinna – w uduchowionym wymiarze – wybrzmiewać wraz z hasłami Sportowego Trybu Życia. Może nawet warto byłoby pomyśleć o ponownym założeniu lub włączeniu się w jakieś istniejące organizacje mające na celu duchową odnowę Polaków, bo bez konfrontowania się ze słabościami narodu marne są szanse na rewolucję dusz. Wincenty Lutosławski z pewnością poparłby taką inicjatywę.

James Connolly - irlandzki nacjonalista, socjalista, republikanin

Słowo wstępne

Krótką biografia Jamesa Connolly'ego - irlandzkiego nacjonalisty, socjalisty i republikanina - była zapowiedziana w artykule „Dzieje Irlandzkiego nacjonalizmu cz. 2”. Tekst ten powstał na podstawie mojej pracy licencjackiej pt: „Ruch narodowy i dążenia niepodległościowe Irlandczyków w latach 1900-1923”. Warto przedstawić tę osobę szerzej, z racji tego, iż postać ta z przełomu XIX i XX w. w swoich działaniach łączyła nacjonalizm z socjalizmem.

Życie James'a Connolly'ego

James Connolly urodził się najprawdopodobniej w 1868 r. w Belfaście. Inne źródła wskazują, że był to rok 1870 r. Miał on wyemigrować w wieku 10 lat do Edynburga, gdzie już w latach młodości spotkał się z problemem nędzy i ubóstwa, pracując jako dziecko w celu utrzymania rodziny. Żyjąc w Edynburgu zyskał posłuch pośród szkockich robotników. Przejawiał w swoim programie politycznym łączenie idei nacjonalizmu i socjalizmu. Potępiony został za to przez II Międzynarodówkę. Ze względów osobistych emigruje do USA i współorganizuje radykalną, internacjonalistyczną organizację robotniczą o nazwie „International Workers of the Word” („Międzynarodowi Pracownicy Świata”). Wspomniana organizacja powstała w 1903 r., a James działał w niej przez okres siedmiu lat. Nie mógł pogodzić się z tym, że Irlandia nie uzyskała swojej suwerenności. Porzucił idee internacjonalistyczne na rzecz swojej ojczyzny, cytując:

„Moje serce należało do Irlandii. Czulem, że nikt inny nie może tego zrobić. To, co miało być zrobione mogłem zrobić lepiej niż ktokolwiek inny. Zawsze śniłem o Irlandii, śniłem o powrocie do domu. Teraz jest czas, w którym próbuję realizować moje sny. Uważam, że spróbuję zrealizować ten.”

Z racji tego wrócił do Irlandii w 1910 r. i stał się liderem „Irish Transport and General Workers Union” (w skrócie ITGWU, na polski „Generalny Irlandzki Związek Pracowników Transportu” - powstały w 1908 r. przez innego irlandzkiego działacza robotniczego - James'a Larkin'a).

J. Connolly stworzył Irlandzką Armię Obywatelską do ochrony lokautów i strajków, później bojówkę tą przekształcił w armię. Zawiązał sojusz z Irlandzkimi Ochotnikami i przystąpił do działań w Powstaniu Wielkanocnym w 1916 r. stając się jednym z głównych liderów wspomnianej rebelii. Po upadku powstania trafił do niewoli. Za zdradę Wielkiej Brytanii został rozstrzelany na krześle, ze względu na to, że podczas walk został ranny w nogę, gdzie wdarła się gangrena - nie mógł stać przed plutonem egzekucyjnym.

Poglądy

Propozycje swoich zmian społecznych J. Connolly m.in. przedstawiał w gazecie „Workers' Republic”. (Gazeta ta jest dostępna w domenie publicznej, po angielsku, w oryginale, w irlandzkich internetowych bibliotekach za darmo.) Poglądy te były syntezą łączenia idei niepodległości z wolnością narodu, socjalizmu, praw robotników, wizją państwa oraz roli kościoła oraz religii. Jego poglądy często są chaotyczne i nie zrozumiałe, a tłumaczenie z angielskiego czasami nie daje pełnej istoty zamysłów ideowej. Z racji tego postaram się przedstawić najważniejsze kwestie ideowe wysnuwane przez bohatera tego artykułu na podstawie głównego źródła, czyli gazety „Workers' Republic”.

Suwerenność, naród i klasa robotnicza

Po pierwsze J. Connolly uważał, iż grupowanie związkowców, którego był reprezentantem, to nie tylko socjaliści, ale także republikanie, albowiem odrzucali oni monarchię, jako jeden z czynników zniewolenia mas ludu irlandzkiego. Po drugie stwierdzał, że dopóki klasa robotnicza będzie obojętna na samostanowienie państwa, dopóty nie otworzy się na nurty inne niż socjalizm. Po trzecie w jego ocenie dominującą siłą polityczną była irlandzka klasa robotnicza, która będzie skazana na zatracanie i wykorzystana jako tania siła robocza, jeśli nie zaakceptuje idei niepodległości.

Religia

Inną kwestią pozostaje religia. Ogólnie Connolly'ego postrzegano jako człowieka antyreligijnego, ale w rzeczywistości był antyklerykalny wobec tej części kleru, który swoją polityką zniewalał irlandzkie masy pracujące. Podkreślić należy, że nie miał on zastrzeżeń do wyznań religijnych, a jedynie „sekiarskich zatargów”. Chodzi tutaj dokładnie o konflikt protestancko-katolicki. Tłumaczył, iż socjalizm to tylko i wyłącznie znajomość faktów ekonomicznych, co interpretować trzeba jako, że religia nie była według niego sprawą najistotniejszą. Pozostawił religię jako coś odrębnego dla jednostki, która musi sama stwierdzić, czy jest jej potrzebna do szczęścia czy też nie. Nie akceptował tej części kleru katolickiego, który współdziałał z kapitalistami i gnębił robotników.

Connolly'ska wizja socjalizmu, państwa i krytyka kapitalizmu

James Connolly oprócz Marksa doceniał innych pisarzy, którzy chcieli świat usprawnić. Stworzył on swoją własną wizję socjalizmu otwartą na inne myśli polityczne niż tylko socjalizm, w tym przypadku np. nacjonalizm.

Według Connolly'ego powinno się odrzucić m.in. kapitalizm państwowy, ponieważ zakłada „(...) wspólną kontrolę robotników nad środkami produkcji (...) bez tej kooperacyjnej kontroli publiczna własność państwa nie jest socjalizmem, tylko kapitalizmem państwowym.” Ponadto „Państwo powinno być społecznym narzędziem w ręku swoich mężczyzn i kobiet, a jego władze używane przez robotników jako środki, nie zaś używane jako siła represyjna przeciwko robotnikom”.

Popierał demokratyzację i decentralyzację państwa, strajki generalne, konfiskaty dóbr (forma nacjonalizacji), syndykalizm przemysłowy oraz samostanowienie się związków zawodowych.

J. Connolly, tak jak większość robotników w Irlandii, był katolikiem. Nazywał się nacjonalistą, a w drugiej kolejności socjalistą. Podkreślał, że aby Irlandia zyskała niepodległość to musiałyby zajść oprócz zmiany ustroju również i zmiany społeczne, bez których nie mogłaby zaistnieć Wolna Republika Irlandzka. Pisał: „Podobój Irlandii oznaczał dla irlandzkich mas społeczną i polityczną niewolę, a zatem odzyskanie Irlandii musi przynieść społeczną i polityczną niezawisłość każdego mężczyzny, kobiety i dziecka.”

Republika Irlandzka według wizji Connolly'ego, miała być państwem suwerennym, zdecentralizowanym, republikańskim o ustroju socjalistycznym i niekapitalistycznym, nieposiadającym kapitału państwowego, który wtórnie zniewalałby naród irlandzki. Ponadto system społeczny Republiki Irlandzkiej powinien opierać się na syndykalizmie i wolnych związkach zawodowych by nie dochodziło do konfliktu między „wyzyskiwaczami” a „wyzyskiwanymi”. Ponadto odrzucał on biurokracizm jako coś złego w funkcjonowaniu państwa.

Patryk Płokita

„Antysystem”

Brak, kamienie i płomienie przeciwko systemowi

Przeciw kłamstwom, defraudacjom , tej skurwysyńskiej znowie

Oni okłamują nas, odbierają godność życia

Przeliczają na monety, okradają z naszych marzeń

W swoich pięknych garniturach, lśniących limuzynach

Nie chcą widzieć naszych twarzy, nie chcą się zatrzymać

Co wybory wciąż to samo – piękne obietnice,

Jak wygrają to pokażą nam pleców okolicę,

Śmieją nam się prosto w twarz , mówiąc że tak nie było,

Bardzo chcieli, próbowali, ale się zmieniło

Mamy pięknie zapierdalać i nie protestować,

Być szczęśliwym, że żyjemy , wszystko tolerować,

Młodzi ludzie są bez szans, w starych gąsnie już nadzieja

Lata upływają wciąż i nic się nie zmienia !

Ile jeszcze możesz znieść? Jak długo będziesz chylił głowę?

Polski Naród ma już dość obłudy szytej pięknym słowem

Niespełnione obietnice, wyzysk, nędza, beznadzieja,

System niszczy nasze życie, bez żalu , bez sumienia

Polski Naród jest wkurwiony widząc co się tutaj święci,

Od „pierwszego” do „pierwszego – i tak aż do śmierci !

Przecież tak się nie da żyć, to zwykła wegetacja,

To wszystko hojnie dała nam czerwona demokracja !

Bruk, kamienie i płomienie przeciwko systemowi

Przeciw kłamstwom, defraudacjom , tej skurwysyńskiej znowie

Zbigniew Zduński, 16.03.2016

